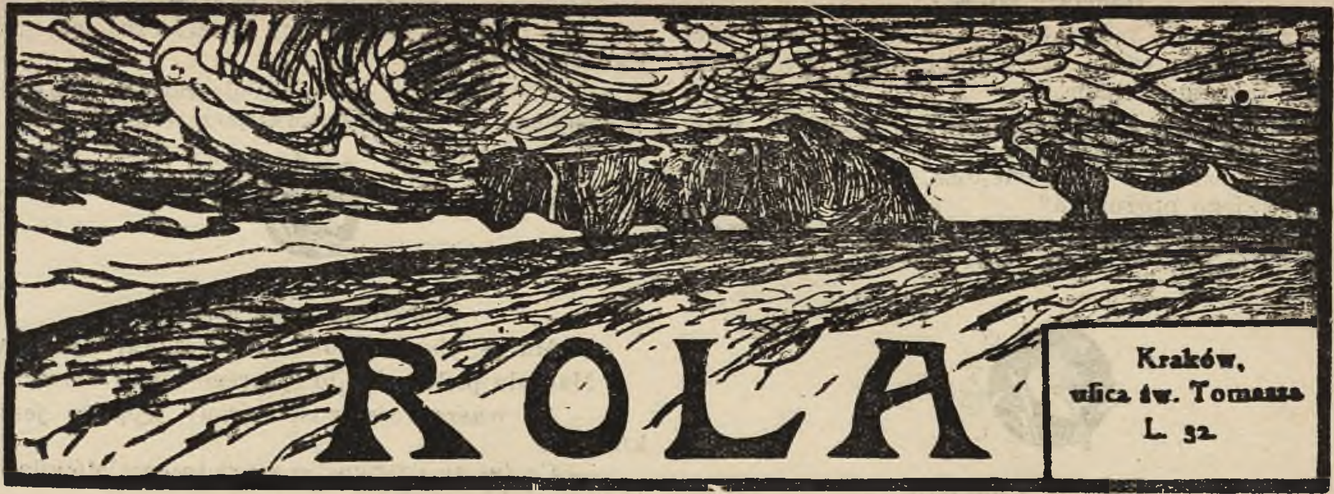
Numer 43. Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 27 Października 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Dogmaty miłości.

Dziedzic: Widziałem, Wojtek, żeś leń wierutny, ale teraz widzę, żeś i głupi, kiedy się chcesz żenić z taką starą babą.

Wojtek: Co stara, to stara, wielmożny dziedzicu, ale ma rarytną krowę...

Dziedzic: A wy Maciejowa, jak macie odwagę iść za takiego próżniaka?

Maciejowa: Co próżniak, to próżniak, ale galanto umie paść krowę na dworskiem.

Chłopek u doktora.

— Jedno oko mam bardzo bolące, drugie krzynkę lepsze, ale mało co widzę.

— No, to obejrzę najprzód to lepsze.

— E, nie! tego niech wielmozny konsyljosz nie rucha.

— Dlaczego?

— Bo ja tylo to gorse zaryzykowałem na przepadłe.

Przed wyborami.

— No, panie Jacenty, dajta się wybrać na wójta.

— Na żaden sposób nie mogę, tak jestem przyzwyczajony do kamaszy, że nie mógłym nosić buta z cholewą.

— A cóż to ma do wójtowstwa?

— Zdaje się aszeci!... a gdzieżbym nosił pieczęć i klucz od kasy?...

Chłopska rezygnacja.

— O tatulu!... tatulu!... co ja teraz zrobię bez mojego chłopa!...

— Nie frasuj się, Jagna! Wola Boska... znajdziesz se drugiego, co cię będzie prał jeszcze lepiej.

Spostrzegawcza Maryś.

— Maryś, obudź tatula, bo ziemniaki wystygną!..

Marysia podchodzi do śpiącego ojca i mówi:

— W wasze ręce, gospodarzu! wypijta jeszcze kieliszek.

— Co też ty dziewucho wygadujesz! Mówiłam ci, że ziemniaki ostygną.

— E, he! zawdy się tatulo na monopolkę prędzej obudzą, jak na ziemniaki.

Dobry sposób.

Do matki, która była zajęta przy prosiętach, przybiega siedmioletni Michałek:

— Mama, wiecie, do dzieżki z mlekiem, co stoi w komorze, wpadła mysz.

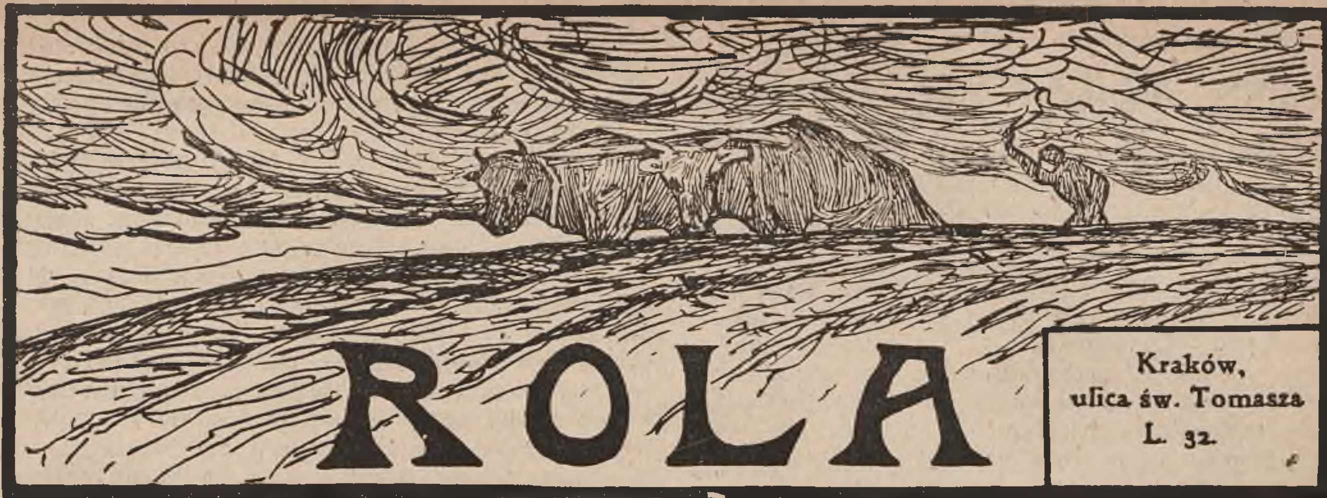
— O rety — załamuje ręce matka.

— Ale nie martwcie się, jużem poradził na to.

— No i cóżeś zrobił?

— A wrzuciłem do dzieżki kota!

Numer 43. Rok XII. Kraków, dnia 27 Października 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

A oto nadeszła jesień...

Nie dziś, ani nie wczoraj ona się rozpoczęła; trwa już kilka tygodni, nieznacznie wypłynęła z lata i nieznacznie w zimę się przemieni. Zbiera ostatnie okruchy jaśni latowej, błyska ostatnimi promieńmi słońca, aby wreszcie zmęczona ledz na kilkomiesięczny odpoczynek. O jakże ona podobną do życia ludzkiego! Więcej w niej smutku, aniżeli radości, więcej łez deszczowych, aniżeli uśmiechów słonecznych...

Ale ja kocham tę jesień życia mojego i jesień życia wszystkich ludzi. Uprzytomniam sobie zawsze jesień jako człowieka w sile wieku, używającego w całej pełni przyjemności świata, rozumiejącego, co jest życie i jakiem ono być powinno.

Wprawdzie w jesieni życia ludzkiego znikły już ułudne wiośniane szczebioty ptaków, znikły miłosne szepty par zakochanych, znikły przybłyski łagodnych promieni wiosennych i przeminęły rosy łez krótkotrwałych, ale natomiast zastąpiły je hartowne poczynania i wola niczem nieprzeparta. W jesieni swej zbiera człowiek wszystko, o czem marzył, o czem śnił w swych ułudach młodzieńczych. Wie wprawdzie, że wszystko to minie wkrótce i bezpowrotnie, ale tembardziej każdą radość, każde wesele przyjmuje tem pewniej, tem radośniej i tembardziej się nią rozkoszuje. W jesieni życia swojego człowiek dopiero uczy się poznawać wszystkie wartości szczęścia.

Może być, że w wiośnianych dniach życia swojego ma człowiek więcej chwil jasnych, ma więcej uśmiechów szczęścia i rozkoszy, ale to przecież pewnem jest, iż wówczas nie umie ich tak dokładnie odczuć i należycie wykorzystać. Dopiero gdy przyjdzie jesień życia ludzkiego, to wszelkie radości ludzkie, choćby najdrobniejsze, olbrzymieją i dopiero prawdziwą radość mu sprawiają.

A czyż i na świecie nie jest tak samo? Czyż oko nasze nie pieści się więcej pięknym kolorem jesiennej chryzantemy, aniżeli tysiącami barw kwiatów wiosennych? Na wiosnę przechodzimy obok setek i tysięcy różnobarwnego kwiecia, nie zwracając niemal nań uwagi, podczas gdy jesienny kwiat przykuwa nasz wzrok, który niejako chce go zatrzymać i nie dać mu pokonać się nielitościwej zimie.

A i te kwiaty jesienne! Jakżeż one przypominają człowieka! To nie ciche i skromne fjołki, wstydzące się w oczy zaglądnąć innym stworzeniom, to nie słabe powoje, które o własnych siłach nie mogą nawet główek swych podnieść ku niebu, ale szukają u kogo innego oparcia, aby mogły róść i pieścić się życiem. Kwiaty jesienne, astry i chryzantemy, to obraz siły i tężyzny. Nie boją się burz, nie boją wichrów. Może chcieć je przymrozek nocą pokonać, one nic sobie z tego nie robią. Przyjdzie dzień jasny, rozlewają swe niczem nie zamącone barwy tak, jak je rozlewały wczoraj. A nawet kiedy je śnieg przyprószy, nie tracą swej okazałości; gdy tylko słońce zdejmie z nich ową białą powłokę, podnoszą główki swe ku niebu, jakby je żadna nieprzyjemność nie spotkała. A czyż człowiek w jesieni życia swojego nie jest im podobny. Przechodzą przez niego wichry życiowe, a on trwa, przewalają się burz huragany, a on nie pochyla czoła, przeleci przez niego zamieć niepowodzeń, a on się nie ugnie. Posiada w sobie ten hart kwiatu jesiennego, który gdy nawet śnieg przykryje, on takim jest nadal, jakim był poprzednio.

I co jeszcze jest w jesieni życia ludzkiego? Oto brak trwogi przed tem, co ma przyjść, co przyjść musi. Człowiek w jesieni dni swoich nie lęka się tej nieuniknionej przyszłości, przed jaką drżał w wiośnie i lecie życia swojego. Wie on, że kres nadchodzi, że przyjść musi i czeka nań ze spokojem, jako na to, co odwrócić się nigdy i nikomu nieda.

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

Płomień oświecił ciasną polanę, a najbliższa okolica zagrała życiem.

Niezliczona ilość ciem, nieświadoma niebezpieczeństwa, cisła się do światła i słała swemi drobnemi ciałkami bujny mech.

Tu i ówdzie poruszyło się liście drzew i odezwał się głos ptaszka, a spłoszony ze swego legowiska zwierz, szeleszcząc gałęziami i suchemi opadłemi liśćmi, umykał przed światłem ogniska.

Ogrzana na nim odzież dymiła a przyjemne ciepło rozchodziło mu się po kościach.

Za chwilę ogrzany na poły osuszony postanowił sporządzić sobie z kaczek posiłek.

Kozikiem porozcinał im brzuchy, wnętrzności wyrzucił, rękami wygrzebał z pod liści miękkiej mokrej gliny i oblepił nią razem z pierzem każdą pojedynczą kaczkę, że tworzyła dużą gomułkę, które, rozgrzebawszy ognisko, ułożył, obsypał żarzącemi się węglami i obłożywszy drzewem — piekł.

Kiedy glina wyschła w ogniu i miejscami z wierzchu przybrała kolor cegły, a rozpęknięciami wydobywała się para wodna, wyjął je, jedną z nich rozbił i ze środka wyjął czyściutkie białe mięso rozkosznie dymiące przyjemnym aromatem.

Glinę, która przedziwnie zdjęła z ptaka wszystko pierze, odrzucił, a sam pojadł do syta smacznego mięsa.

Pozostałe gomułki razem z oblepioną gliną złożył na boku, żarzące się węgle obsypał popiołem, a sam znużony srodze cisnął się na legowisko i za chwilę zasnął twardo, jakgdyby nieżywy.

Śniło mu się, że z pomocą Wiedźmy i rycerza, którego poznał u niej, kiedy stracił palce u ręki, napychał skórę baranią siarką i smołą. Potem zaszytą zaniósł na swych barkach do pieczary wawelskiej i tam rzucił przynętę smokowi. Potwór obrzydliwy, zgłodniały, wypełzał, otwarł ogromną paszczę i połknął domniemanego barana. On z rycerzem stał na wzgórzu za drzewem i widział, jak potem ział ogniem, rzucał się, wreszcie z okropnym rykiem przypadł do Wisły i chlał wodę, jakby cały strumień chciał wlać w siebie, aby ugasić trawiący mu wnętrzności ogień.

Naraz począł pęcznieć. Brzuch jego stawał się coraz to większy, wydymał się w ogromną jakąś górę, aż przerósł Wawel. Potem zaryczał przeraźliwie, rzucił się parę razy, wreszcie z ogromnym łoskotem rozpadł się na drobne części, które wpadły do Wisły.

Przestraszony hukiem porwał się z posłania i usiadł, rozglądając się z trwogą.

Był to dzień w całej pełni.

Grzmoty piorunu powtarzane echem, tworzyły jakąś piekielną muzykę, błyskawice oświetlały przerażającym blaskiem raz po raz półmrok leśny i ćmiły mu wzrok, konary drzew, łamane straszną wichurą, leciały z góry z trzaskiem a odwieczne dęby i buki, uginane żywiołem, pochylały do ziemi swe dumne konary i jakby wybijając pokłony jakiemuś potężnemu bóstwu, trzepotały liśćmi, wydając ponury, do głębi serca przejmujący szum.

Skuba, zbudzony nagle ze snu w środku szalejącej burzy, siedział.

W panicznem strachu przed groźnym bożkiem Perkunem przytulił się do olbrzymiego pnia dębu i za każdym łoskotem gromu szczękał zębami, bladł i drżący szeptał:

— Nic ci złego nie uczyniłem, bożku! Daruj mi życie, niech pomszczę Salwidę, a ja ci pierwszego upolowanego zwierza złożę na całopalnym stosie!

Bór trząsł się i huczał, drzewa z łoskotem, straszniejszym od gromu, zdruzgotane na drzazgi piorunem padały na ziemię, ptactwo wystraszone przysiadło na ziemi i z rozpostartemi skrzydełkami tuliło się w trawę, poglądając z lękiem ku górze, a on łowił wzrokiem i uchem otoczenie, czy jaki odłamany konar z góry albo obalony pień drzewa z boku nie leci na niego.

Naraz gruba kropla deszczu padła mu na twarz, potem druga, trzecia i za chwilę jakby potokiem z góry, lunął ulewny deszcz.

Skuba, niepomny na grzmoty, skoczył do ogniska, aby ratować zarzewie tak mozolnie wydobyte tarciem, tlejące w popiele.

Na wbite naprędce w ziemię kołki zawiesił swój mokry jeszcze kożuszek, rozgarnął popiół i nałożywszy suchszych gałązek, dmuchał w zarzewie.

Pioruny z niesłabnącą siłą waliły w bór, jakby chciały go znieść z powierzchni ziemi, a deszcz, nasyciwszy górne warstwy liści, coraz większem strumieniem lał na podłoże leśne.

Zrazu gruba podściółka zmurszałych liści, opadłych gałęzi drzew i pulchna warstwa humusu piła wodę, ale wnet jej ogrom nasycił ziemię, że przestała przyjmować strumienie lejące z góry.

Zrazu tu i ówdzie w zagłębieniu pokazała się woda, rosła coraz wyżej, przelewała się przez tamujący ją brzeżek, łączyła się z innemi drobnemi strumieniami, aby wkońcu rwać ku dołowi potężnym strumieniem.

Skuba bronił, jak mógł, od zalania ogień, ale ten podmakany coraz bardziej z dołu, syczał, buchał kłębami pary, wreszcie zalany większą falą strumienia, zadymił czarno i uległ potężniejszemu żywiołowi.

Zrezygnowany powstał, zarzucił na ramiona swój mokry kożuszek i trzymając pod pachą gomułki gliniane, w których miał upieczone kaczki, stanął pod drzewem.

Woda szumiała wokoło, rwała miękki homus i niosąc drobne gałęzie drzew, liście i badyle ziół, zabarwiona gliną na żółto, toczyła swe fale w dół ku Wiśle.

Za chwilę woda sięgała mu kolan, że mimowoli spojrzał na konary drzew; jakby tam szukał ocalenia.

A strumienie wody lały się i lały, jakby tam w górze jakiś ogromny wypróżniał się zbiornik. Pioruny rzadziej już uderzały i nie z taką siłą, jak na początku, tylko ich pomruk częsty dochodził echem zdaleka od Wisły.

Burza większością swą już przeleciała nad borem, ale deszcze lał jeszcze, jak z cebra.

Po długiej dopiero chwili szum boru przycichł i stopniowo odddalał się w dół rzeki, aż wkońcu nieporuszony stanął i tylko gdzieś zdaleka dochodził od czasu do czasu głos gromu.

Ciekące z góry strumienie zamieniły się w cieniutkie niteczki, następnie w grube krople, które coraz mniejsze rzadły, aby wkońcu zupełnie przestać padać.

Za jakiś czas, nagle zrobiło się w borze jaśniej. To słońce wyjrzało zza chmur, oświeciło jasno wierz-

chołki drzew i łamiąc swe promienie w grubych kroplach dżdżu, pozostałych na liściach drzew, błysło kolorami tęczy, jakby ją kto drogimi obsypał klejnotami.

Tu i ówdzie ozwał się ptaszek, zawtorował mu gdzieś drugi, potem trzeci, chwilę nuciły razem, to urywały, aż wkońcu gałęzie drzew zagrały przedziwną muzyką zasilaną szumem płynących dołem wód.

Wnet słońce upalne, letnie, zrobiło swoje.

Za niedługi czas już tylko sam szum płynących pomiędzy drzewami strumieni brudnych wód, drzazgi połupanych piorunem drzew, świadczyły, że nad borem przeszła straszna burza.

Skuba wnet przyszedł do siebie po strachu przed strasznym bożkiem pioruna. Zaczął myśleć.

Takiej gwałtownej i strasznej burzy nie pamiętał jeszcze, jak żyje.

Wspomniał sobie rodzinę w borze bez dachu nad głową i szepnął:

— Czy się bogowie uwzięli na naszą zagładę?!... Tu żywioły pozigrały się, jak nigdy a tam znowu smok!...

Stęknął i strapiony srodze, mokry usiadł na zwalonym pniu drzewa.

Mimo parnego dnia, mokry, drżał, jak we febrze i przemyśliwał, co dalej czynić.

Ale znać wnet się zdecydował na jakiś czyn, bo powstał i kierując się w górę rzeki, poszedł pomiędzy drzewa.

Woda po pochyłości gruntu spłynęła wnet, że po grubej podściółce stanął dość pewnie i tylko miejscami odsłoniony, gliniasty, oślizgły grunt usuwał mu się pod nogami.

Nagromadzoną w zagłębieniach wodę przebywał, brodząc czasem powyżej kolan, to znowu napotkany wąski strumień przeskakiwał. Jedną ręką uzbrojoną w łuk, bo drugą podtrzymywał pod pachą gliniane gomułki z kaczkami, rozgarnywał zarośla, to znowu cisnął się pomiędzy blisko siebie stojące pnie drzew i szedł niezrażony trudnością uparcie naprzód.

Słońce w swojej dziennej wędrówce prosto stanęło mu nad głową a on nie dotarł jeszcze ani do tego miejsca, skąd na przeciwnym brzegu nocą wszedł w nurty Wisły, by ją przebyć. Tak daleko zniosła go toń w dół rzeki.

Spłoszony zwierz co chwila wyrywał mu się prawie z pod jego nóg, że mimowoli przystawał z myślą upolowania którego, ale żyłkę myśliwską tłumił w sobie i tylko na widok sobola, bobra lub sarny, oblizywał się łakomie.

Czasem zaś ciarki przechodziły mu po plecach, kiedy nagle zza drzewa zobaczył stado dzików, rechoczących rozkosznie nad ucztą żołędzi pod dębem, albo kiedy z dziópła starego buka wystawił głowę ustrojoną śpiczatemi uszami żbik, który błysnął ogniami swych kocich ócz i schował się z powrotem.

Czasem znowu, kiedy zaszeleściło liście na buku i miauczenie podobne do kota doleciało jego ucha, wtedy Skuba poprawiał twardej czapy na głowie, wciskał głowę w ramiona i chyłkiem umykał, bojąc się, aby ryś o pręgowatej skórze nie skoczył z góry na niego i pazurami nie oskalpował mu głowy, zanim mógłby pomyśleć o obronie.

Z równiny wszedł na skaliste wapienne wzgórze rzadko porosłe wysokiemi drzewami, ale zato pokryte krzakami cierni, ostrężyny, dzikiego bzu i malin, pomiędzy które tylko z trudem, torując sobie drogę siekierką, mógł się posuwać.

Wkońcu i te zarośla się skończyły, a Skuba znalazł się na szczycie wyniosłego, nagiego wzgórza.

Popatrzał ponad wierzchołki drzew na wprost siebie.

Przed nim ukazało mu się wysokie wzgórze zarośnięte staremi dębami i bukami, o nagiem wapiennem zboczu, w którem czarną plamą znaczyła się pieczara Bojana Jaksy.

— Wawel! — wyszeptał.

Przebędzie tylko niebardzo szeroki pas lasu i stanie nad Wisłą, skąd będzie mógł wygodnie oglądać przeciwny brzeg, a na nim... smoka...

Usiadł na wapiennej skale pod rozłożystym bukiem i strudzony wypoczywał.

Kożuszek rozłożył na skale, by sechł, a sam, poczuwszy głód, rozbił glinę i dobył z niej upieczoną kaczkę, którą jadł ze smakiem, rwąc zębami mięso.

Ukryte w pobliskich zaroślach ptactwo zawodziło trele, brzęczały pszczoły, przelatując z kwiatka na kwiatek, schowane w trawie ciórkały monotonnie polne koniki i tworzyły jakąś cudowną muzykę, która rozkoszną tkliwość wlewała w jego skołatane serce.

Podjadłszy do syta, rękawem otarł twarz i zasłuchany w życie puszczy wsparł głowę na ręce i zapatrzony w bezkresną dal, wodził oczyma po wierzchołkach ciemnej zieleni boru. Wkońcu dłużej zatrzymał wzrok na czarnej czeluści pieczary i westchnął:

— Niema tam już mego kochania!...

Rękami złapał się za głowę, targał włosy, stękał, i wił się w niemej rozpaczy za utraconem szczęściem.

Słońce już dobrze chyliło się ku zachodowi, a on siedział nieruchomy, jakby przyrosły do głaza i nie widział, że z boku poruszyły się zarośla i kudłaty łeb wysunął się zza krzaka. Zdumiony widocznie niezwykłem widowiskiem, zatrzymał się nieruchomo i świdrował małemi czarnemi oczyma, siedzącego Skubę, jakby się namyślał, co począć. Po chwili podniósł się całą wysokością i mrucząc, jakby jaki grajek na basetli, postąpił do siedzącego z wyciągniętą łapą.

Skuba na mruk dosłyszany z boku oglądnął się i tuż koło siebie zobaczył ogromnego niedźwiedzia, jak na tylnych łapach kroczył, a przednie wyciągnął przed siebie, aby go ująć w swój uścisk.

Skuba instynktownie powstał, usunął się w bok i skoczył na dąb, który na wysokości człowieka puszczał pierwsze konary.

Nie namyślając się nawet, skoczył, złapał się rękami konara i jednem susem znalazł się pomiędzy liśćmi dębu, zostawiając za sobą w dole niedźwiedzia, który, pobiegłszy za nim pod drzewo, przysiadł na zadzie i małemi oczkami popatrzał za zbiegiem, jakby zdumiony, że ofiara znikła mu w górze.

Za chwilę zerwał się i na czworakach, wąchając, obszedł drzewo, spróbował łapami objąć pień, ale widząc, że się to nie uda, zaryczał przeraźliwie i usiadł na tylnych łapach, jakby z zamiarem czekania, aż ofiara sama zechce zejść z drzewa.

Skuba, wsparty na gałęzi, zaczął przemyśliwać o obronie. Łukby mu się przydał. Lecz niestety został na dole tam koło głazu, na którym spoczywał.

Chociaż strzała jego twardej grubo porosłej włosem skóry nie chce się czepiać, ale przynajmniej mógłby go niepokoić i zmusić do odstąpienia z pod drzewa.

Łuk leżał niedaleko na wprost zwisającego konaru.

Wybrał cienką, długą gałąź, odrąbał ją siekierką i zrobiwszy zacięcie, na jej końcu, aby nim zaczepić cięciwę, posunął się po konarze i próbował go przybliżyć do siebie.

Lecz gałąź okazała się za krótka, a niebezpieczeństwo spadnięcia nie pozwalało mu posunąć się dalej.

Wrócił tedy ku pniu drzewa, poszukał dobrego oparcia i gałęzią źgnął leżącego na ziemi niedźwiedzia.

Zaczepiony miś ryknął okropnie, skoczył do drzewa i wsparłszy się przednimi łapami o pień, sięgnął paszczą w stronę napastnika.

Skuba, trzymając się jedną ręką, by nie upaść, odrzucił gałąź, wyciągnął spiesznie zza pasa siekierkę i płatnął z całej siły przez łeb niedźwiedzia.

Kość zgrzytła rozłupana ostrem narzędziem, krew bluzgła na pień drzewa, a niedźwiedź, nie wydawszy nawet głosu ze siebie, zwalił się całym ciężarem swego ciała na porosłe mchem skalne podłoże.

Tu zacharczał parę razy, strzepnął łapami i wyprężył się, jak długi.

Skuba zaczekał chwilę, czy się nie poruszy, a przekonawszy się, że życie z niego uleciało, zsunął się z drzewa, przystąpił do zdobyczy i zatopił dłonie w wspaniałe futro.

— Obiecałem Perkunowi złożyć na ofiarę pierwszą zdobycz. Musi mi być wdzięczny za to, bo nie byle kto może takie bydlę upolować, a tembardziej złożyć na ofiarę! — szeptał, oglądając na wszystkie strony wspaniałego zwierza.

Aby się zbyć z zaciągniętego długu u potężnego bożka, zeszedł ze wzgórza do lasu, nagromadził suchych gałęzi, ułożył stos i wrócił, aby wciągnąć nań ofiarę.

Uchwyciwszy go za tylne łapy, począł ciągnąć, lecz wnet przekonał się, że samemu trudno będzie położyć go na nagromadzonem drzewie.

Stanął tedy i patrzał uważniej na niezwykły okaz zwierzęcia. Teraz dopiero, kiedy rozciągnął go w całej długości, pojął piękność jego futra, że mimowoli przyklęknął przy nim i pieścił rękami przyjemny puszysty włos.

— Ciekawym, czy bożki znają się na futrach?! — szeptał do siebie. — Bo to warta kruszę albo więcej!... Nie żalby było, żeby choć w kożuchach chodzili... Ale jak się to spali, to bóstwo chyba z tego pożytku nie wyniesie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jak djabeł Mazurowi dał matkę?

Gadka.

Było to jeszcze w czasach, gdy pan ze dworu był nietylko właścicielem pól, jakie chłopi uprawiali, ale sędzią ludu wiejskiego i zarazem wykonawcą swych wyroków. W czasach owych panowie oddawali ziemię swą chłopom w dzierżawę, a ci wzamian za otrzymaną ziemię musieli we dworze odrabiać stosowną ilość dni roboczych. Była to tak zwana pańszczyzna.

Otóż w czasach owych w jednej z wsi mazurskich zdarzyło się, że pewna wdowa, podupadła na siłach, ziemię otrzymaną we dworze, oddała swemu synowi, za co on ją miał utrzymywać aż do śmierci. Ale jak to u młodych ludzi bywa, synowi namnożyło się dzieci co niemiara, które koniaby nawet zjadły, wobec czego matka musiała nieraz z głodu przymierać. Poszła tedy do swego pana ze skargą.

Ponieważ pan był sędzią zarazem swoich poddanych i mógł wymierzać karę, jaką się mu podobało, kazał jej przeto na przyszłą sobotę przyjść ze synem.

Gdy matka powiedziała o tem synowi, syn przeląkł się bardzo i prosił matkę, żeby poszła termin odwołać i że już jej będzie dawał jedzenia pod dostatkiem.

Matka, jak każda matka. Żal się jej syna zrobiło, poszła więc do dworu i odwołała termin, mówiąc, że syn już będzie dobry dla niej.

Lecz tej dobroci nie na długo było i baba znów ze skargą do pana poszła. Pan znów na sobotę termin wyznaczył, ale powiedział zarazem, że jak syna nie przyprowadzi, to ona rżnięcie dostanie.

Gdy powiedziała o tem synowi, ten w strach i znów matkę prosi, całuje i płacze, bo wiedział, co go czekało we dworze, kiedy już drugi raz matka skargę na niego zaniosła.

Lecz gdy przyszła owa sobota, matce znów żal się syna zrobiło. Kazała mu więc w domu pozostać, a sama powlokła się do dworu, aby za niegodziwca odpokutować. Po drodze namyślała się, jakby się tu wykręcić. Wiedząc, że ją baty nie miną, nie spieszyła się zbytnio, lecz tu i tam kręciła się, aby odwlec jak najdłużej nieprzyjemną chwilę. Gdy się tak kręciła, spostrzegła nagle dorodnego młodzieńca, który, idąc, nucił sobie wesołą piosenkę. Gdy już był blisko baby, tak ona rzekła do niego:

— Człowieku, pan mi tu kazał na was czekać i przyprowadzić was do niego.

Chłopak, nie przeczuwając nic złego, poszedł z babą do dworu. Ale gdy tylko wszedł do izby, wrzasnął pan na niego:

— A ty hultaju! To ty tak z matką się obchodzisz! Bierzcie go!...

I dwóch parobków pochwyciło chłopaka, rozłożyli go na ławie i wsunęli mu dwadzieścia pięć prętów na starszą panią. A pan powiada:

— A będziesz ty twoją matkę szanował i pod dostatkiem jej jeść dawał?

A chłopak na to:

— Panie, ja tej baby wcale nie znam...

— A ty psu bracie! — wrzasnął pan — własnej matki się wypierasz! — I znów skinął na parobków, a ci wsunęli drugą porcję biednemu chłopakowi.

Pan znów zapytał go, czy będzie swoją matkę szanował, a chłopak powtórnie odparł:

— Panie, ja tej baby nie znam!

A baba po każdem takiem powiedzeniu mówiła:

— Panie, to on zawsze tak na mnie mówi...

Po trzeciej kolejce chłopak poszedł po rozum do głowy i powiada ze szlochem:

- Panie, ja już będę moją matkę miłował i jeść jej dawał.

Puścili go, Gdy wyszedł, łzy mu się ciurkiem puściły od bolu, które rękawem ocierał. A wyszedłszy na drogę, spotkał idącego staruszka.

— Chłopaku, czego tak płaczesz? — spytał go starowina.

A chłopak na to przez łzy powiada:

— Ot tu w tym pałacu djabeł mi matkę dał i tak mnie za nią sprali...

A jaki sens tego? Oto miłość matki jest wielka i dużo przebaczyć może, ale chytrość i podstęp baby jest taki, że człowiek zawsze i wszędzie musi się mieć dobrze przed nią na baczności.

SPOWIEDŹ KOBIETY UPADŁEJ.



Pan Andrzej Pławski był znany w całej okolicy, jako człowiek stateczny, pobożny i dobroczynny. Jeszcze jako małe chłopię opuścił wioskę rodzinną, poszedł w świat i własną pracą dorobił się nietylko jakiego takiego stanowiska, ale i uciułał nieco grosza, aby na starość wieść żywot bez troski. Pracować musiał ciężko, gdyż z domu wyszedł bez grosza, ale że żył uczciwie, więc pracy jego Bóg błogosławił, to też na niczem mu w życiu nie zbywało. Jako organista w jednem z niewielkich miasteczek był lubiany nietylko przez swego bezpośredniego przełożonego, miejscowego księdza proboszcza, ale i przez ludność całej parafji, gdyż sam z nędzy wyszedłszy, odczuwał nędzę innych i umiał cierpiących pocieszać, a niejednemu i przyjść — z pomocą.

Ale powiada przysłowie: „Kogo Pan Bóg kocha, na tego zsyła Swe krzyżyki". Tak też było i z panem Andrzejem. Z pięciorga dzieci, jakimi go Pan Bóg obdarzył, czworo umarło w chwili, kiedy dopiero zaczęły rozkwitać do życia, a pozostała tylko jedna wątła i mizerna Kasia, o której przyszłość drżał pan Andrzej, obawiając się, aby nie podążyła za resztą dziatwy na łono Stwórcy. Wprawdzie pan Andrzej przyjmował wyroki Boże bez szemrania, mówiąc: „Pan dał, Pan wziął niech się dzieje wola Jego" ale przecież drżał o los swojej jedynaczki.

I jakoż nie przeczuwał nawet, co mu niedaleka przyszłość przyniesie. Pewnego dnia Kasia znikła z domu i słuch o niej zaginął. Dowiadywał się pan Andrzej, jak mógł i gdzie mógł, ale znikąd nie zdołał się dowiedzieć, co się z jego umiłowaną dzieciną stać mogło. Nie mógł odgadnąć powodu, dlaczego opuściła dom jego i dlaczego nawet bez pożegnania w świat wyfrunęła. Nie mógł odgadnąć, gdyż Kasia nie była latawicą, nie była dziewczyną lekkomyślną, a jeżeli kiedy grzeszyła, to tylko nadmiarem dobroci serca, które odczuwało każdą troskę bliźniego, które litowało się nad każdym.

Minęło lat kilka, a pan Andrzej nie mógł się nic dowiedzieć o swej umiłowanej dziewczynie. Miał ją już za umarłą i jak o umarłej wspominał w swych codziennych modlitwach.

Pewnego poranku, jak codziennie, wyszedł pan Andrzej, aby u stóp Najwyższego złożyć swe troski i poprosić Go o łaski na dzień rozpoczynający się. Kiedy stanął u furty kościelnej, spostrzegł pod murem wynędzniałą postać niewiasty, trzymającą małego chłopczyka za rączkę. W oczach zawirowało mu, nogi zadrżały pod nim, gdyż zdało mu się, że w stojącej rozpoznał swoją zaginioną córkę.

A niewiasta na jego widok padła na kolana i z piersi jej wydarł się jeden jedyny tylko okrzyk:

— Ojcze!

Ale w tem jednem słowie pan Andrzej wyczytał całą tragedję swej jedynaczki. Ojcowskie serce jego odczuło gehennę jej życia i zadrżało z bolu nad tem, co z jego dziecięcia umiłowanego uczyniono. Ale nie byłby przecie ojcem, gdyby bez słowa wyjaśnienia odtrącił ją od siebie. Podniósł więc szlochającą z ziemi, pogłaskał zbiedzoną główkę drżącą dłonią i powiódł ze sobą do domu, gdzie rozpoczęła się spowiedź o tej przeszłości, choć tak codziennej niemal, ale tyle tragedji w sobie mieszczącej.

— Nie mogłam patrzyć — spowiadała się ze szlochem Kasia — jak ty, ojcze, pracujesz i troszczysz się o wszystko, a ja bezczynnie żywot pędzę. Postanowiłam pójść w świat i pracować sama na siebie. Nie powiedziałam ci o tem, gdyż wiedziałam, że byłbyś się na taki krok mój nie zgodził. Poszłam w świat i rozpoczęłam pracę sama na siebie. Dobrze mi się wiodło, gdyż przełożeni lubili mnie, jako sumienną pracownicę. Nie posiadałam wysokiego wykształcenia, ale to, jakie wyniosłam z domu, wystarczało mi, aby podołać swoim obowiązkom. I byłoby wszystko dobrze, gdyby na drodze mojego życia nie stanął był człowiek, który jedynie własne ja miał na celu....

Łzy przytłumiły dalsze słowa dziewczyny, a kiedy się uspokoiła nieco, mówiła dalej:

— Spotkaliśmy się raz i drugi. Moja niebrzydka twarzyczka i wesołe usposobienie zrobiły na nim silne wrażenie. Stawał się coraz czulszym i napastliw-

szym, a ja niedoświadczone, siedmnastoletnie dziewczę nie wiedziałam, do czego zmierza. Miłe mi było jego towarzystwo, więc bez obawy przyjmowałam objawy jego czułości. Aż raz, kiedyśmy byli sam na sam, zaproponował mi rzecz, na wspomnienie której do dziś dnia krew ścina się w mych żyłach. Odrzuciłam propozycję z oburzeniem, powodowana więcej instynktem, gdyż całej ochydy grzechu wówczas nie znałam. A on, widocznie zgóry przygotowany na wszelkie ewentualności, wyjął z kieszeni flaszeczkę z jakimś płynem i oświadczył mi, że w oczach moich się otruje, jeżeli mu nie będę powolną. Ojcze, uległam, nie wiedząc jaką zbrodnię popełniłam wobec własnej przyszłości.

I znów łzy stłumiły głos opowiadającej. A kiedy ponownie nieco się opanowała, mówiła dalej:

— Ale i on nie był człowiekiem z gruntu złym. Dowiedziawszy się o skutkach swego czynu, postanowił go ulegalizować. Wzięliśmy ślub, lecz nieszczęście nad nami zawisło. Po kilku latach szczęśliwego pożycia małżeńskiego owdowiałam młodo. Zostałam bez środków do życia. Trzeba było szukać jakiegoś zajęcia. Nie było to jednak rzeczą łatwą. Jeden błąd mojego życia krzyżował wszystkie drogi moje. — Gdziem się tylko zwróciła o pracę, przyjmowano mnie nieufnie. Rozmaite świętoszki, które tajnie całe swoje życie w brudach przepędzają, odmawiały mi pracy, jako hańbą napiętnowanej. Nie jadłam, nie spałam, aby tylko tę biedną sierotę, która przyszła na świat bez żadnej z jej strony winy, wyżywić i dla społeczeństwa na pożytecznego człowieka wychować. Niestety, wszelkie moje usiłowania w niwecz się obracały. Potężna pani, plotką zwana, szła przedemną, jak morowa zaraza. Gdziem się tylko zwróciła z prośbą o pracę, pracy tej odmawiano mi. A niejednokrotnie spotykały mnie bolesne docinki, które przyjmowałam, jako zasłużoną karę za lekkomyślność moją. Ale docinki te uderzały nietylko we mnie, ale i w niewinne dziecię moje. Niejednokrotnie ci, których szubrawych czynów na wołowej skórzeby nie spisał, ośmielali się bryzgać na niewinną istotę nazwaniem znajdy. A ja, zacisnąwszy zęby, musiałam to znosić cierpliwie, jako karę za czyn mój stokroć już odżałowany.

I znów spazm płaczu przerwał opowiadanie nieszczęśliwej. Dłuższy czas słowa nie mogła przemówić, aż wreszcie wybuchła jękiem, wydobywającym się z najgłębszych tajników serca skołatanego:

— Ojcze! ratuj, już nie mnie, bom ja niegodna tego, ale to nieszczęśliwe chłopię, które przecież jest krwią krwi twojej!... Mnie odepchnij od siebie, bom ja tylko winna, ale przygarnij to maleństwo i nie daj mu krzywdy uczynić.

A pan Andrzej gładził starczą dłonią płowe włosy swej jedynaczki, garnął ją do serca swojego i mówił powoli, a dobitnie:

— Wielka była wina twoja, dziecko kochane, aleś ją stokrotnie odpokutowała. Cierpienie, jakieś przeszła w latach twej niedoli, zmazało czyn twój do znaku. Czystaś w sumieniu swojem, więc nie dbaj na szczekania świata tego, bo wiedz, kto sam w sobie winy nie posiada, nie znajduje jej i w innych, a jedynie ci błędy ludzkie uwypuklają, którzy własne przewiny chcą przewinami innych zasłonić. Dziecko moje, ja winę twoją ci odpuszczam, jak ci ją już Bóg dawno odpuścił, a co świat o tem mówi, nie dbaj na to, byleś jeno w sumieniu twem niewinną była.

Antoni Socha.



Aby was w smutku rozerwać trochę i wase troski uśmierzyć; aby z głowy odpędzić myślenia płoche, opowiem, jakie są u nas baby!

Więc najładniejsa, to Michałowa: Pysk się jej świeci, kieby cebrzycek; pół skrzyni chustek rozmaitych chowa, a drugie zaś pół różnych spodnicek. Lec spojrzyj na nią — znajdzies bez trudu: łeb kołtuniasty i brudne szaty, na całem ciele na palec brudu, który róść zacął jesce przed laty...

Druga Frankowa. O, ta nie sknera! Ta ma na sobie wszyściutko świeże; codzień się w inne chusty ubiera, choć wszyćko na bórg u Mośka bierze...

Trzecia Kubowa. Ta ma dostatek! Co tydzień z kimś się innym pokuma, i sama także ma dziedziesięć dziatek, brak jej jedynie trochę... rozuma.

A la Pietrowy?... Pieter zamało, który się trzyma cerstwo, jak cyment... Co taki Pieter?... Jej by się zdało lepsych od niego Pietrów regiment.

A Wojciechowa, ta pobożniutka! Ona w kościele bywa co rana, a po południu za wódką wódka... A juz na wiecór całkiem pijana...

Jest jesce jedna, to Jadamowa, straśnie cnotliwa, wszak o tem wiecie, lecz choć swą cnotę głęboko chowa, to ją tam zawse ktoś znajdzie przecie...

Lec nic to jesce baby zeniate! Choć wady mają nieprzelicone, choć brudne chodzą, choć są pyskate, lec to tam ujdzie jesce na zonę. Babie z tem ujdzie, ale dzieuska, ten niby anioł, ten niby kotek, jak ci rozpuści gębę od uska, a język puści, jak kołowrotek i zacnie gadać, co gęba zmieści, to ci obmierznie ten stan niewieści!...

Jedna ma gębę, jak rajskie wrota, druga z „frendzlami" parę zapasek, trzecia na gębie ma furę błota, cwarta u „szukni czyrwony paszek". Piąta wygląda bardzo wspaniale, jak malowana — cóż kiedy we łbie, jak powiadają ludzie zuchwale, że ona tylko we łbie ma kiełbia!...

A jesce inna, kieby źrebica, poobcinała na łbie pełechy i nasypała piasku na lica, ze twarz jej taka, jakby dwa miechy. Krótkie pełechy, krótka spodnica i jak tam kiedyś powiedział ktosik, ze omal taka kusa dziewica na świat nie wypnie swojego cosik.

Ale z nich kuzda mówi rózaniec, by złapać chłopa... I nie wiem która z nich się nie modli, by ten śturkaniec był chociaz taki, jak Maciek Bzdura...

I tak wam kuzda nibyto nie chce, ale ocyma tak wam obraca i tak ją gdziesi i cosi łechce, zeby mieć chciała co tchu śturkaca.

Więc cóz dziwnego, ze ja w panieństwie chodzę, żem jesce baby nie znalaz? Sami przyznacie, ze jest w małżeństwie tylko strapienie, tylko ambaras. Lepiej więc cnotę trzymać w kieseni i babskie stłumić w sobie kusenie, póki się do cna świat nie odmieni i nie ocknie się babskie sumienie!...

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Madagaskar V.

W poprzednim* numerze »Roli« mówiliśmy, że religja chrześcijańzka coraz więcej rozszerza się na Madagaskarze. Są tam już nietylko całe rodziny, ale nawet wioski całe, które wyznają religję Chrystusową. Oczywiście wraz z katolicyzmem przedostaje się do ludności tamtejszej i cywilizacja. Ale mimo to nawet wśród chrześcijan pozostaje wiele zwyczajów i obyczajów, których wykorzenić nie tak łatwo. Ale to nic dziwnego, bo przecież i my, którzy wyznajemy religję katolicką już przeszło tysiąc lat, zachowaliśmy jeszcze niektóre obrzędy, jakie nasi praojcowie wykonywali, będąc jeszcze poganami, a religja katolicka ich nie usuwa, gdyż one jej w niczem nie przeszkadzają.



Rodzina chrześcijańska na Madagaskarze.

Jeżeli popatrzymy na nasz pierwszy obrazek, to bez żadnych objaśnień możemy być pewni, że nie przedstawia on jakichś dzikusów, ale ludzi spokojnych i nawet dość cywilizowanych. I rzeczywiście tak jest, jest to bowiem rodzina chrześcijańskich rybaków nad rzeką Iwondro blisko Tamatawy na Madagaskarze. Koło łodzi rybackiej, spoczywającej na swem zwykłem miejscu między kaktusem, a drzewem kokosowem, oczekuje rodzina przybycia ojca. Matka stoi oparta o kokos, dwie córki siedzą u jej stóp, a od wody idzie ojciec rodziny, zadowolony ze swej wycieczki, gdyż ułowił potężnego głowacza, rybę zwyczajną w wodach rzeki Iwondro. Będzie uczta, jak się patrzy, więc też nie można się dziwić zadowolonym minom rodziny.

Jakkolwiek cywilizacja rozpowszechnia się tam coraz bardziej wraz z religją, to przecież jeszcze w wielu okolicach można spotkać dawne prymitywne urządzenia u Madagaskarczyków. Jedno z nich widzimy na naszym drugim obrazku. Jest to kuźnia miejscowa, znajdująca się na otwartem polu przed domem. Szkoda, że rysownik nie przedstawił nam kowali tamtejszych w czasie ich czynności, dałoby to bowiem lepszy pogląd, jak praca ta się odbywa. Tak, jak jest, widzimy tylko narzędzia kowalskie, umieszczone na pierwszym planie, a obok nich siedzących trzech kowali i dwóch ich pomocników. Na drugim planie siedzi jakiś dygniłarz miejscowy w otoczeniu trzech krajowców, obok których stoi jakiś gość z Europy.



Kuźnia malgaska.

Miech, kowadło, młot i kleszcze, to prawie cały przyrząd kuźni tamtejszej. Miech składa się z dwóch pni wydrążonych, z których każdy opatrzony jest w środku ruchomym wałkiem, czyli stemplem, a u dołu małą rurą żelazną. Dwa te wałki naprzemian podnoszone i spuszczane, podobnie jak stemple w maszynie pneumatycznej, sprawiają silny i regularny prąd powiet za dla rozżarzenia węgli. Kowadło jest zwykłą kostką żelazną, a że spoczywa zawsze na ziemi, więc też kowale muszą pracować siedząco, lub co najwyżej w pozycji przysiadowej. Jest to rzecz bardzo niewygodna i utrudniająca znacznie praeę, ale jakoś

na umieszczenie kowadła na podwyższeniu, tak jak u nas, zdobyć się nie mobą.

Widocznie mieszkańcy tamtejsi lubią pracę przyziemną, bo i kuchnie ich nie znajdują się nigdy na jakiemkolwiek podwyższeniu. Oto naczynie, w którem gotują pokarmy, umieszczają na kilku kamykach na środku izby i podpalają pod niem ogień. Kucharka siada obok na ziemi, aby wrazie potrzeby zamieszać strawę lub ją przyprawić, a nadto podsycać ogień. Dym rozchodzi się po całej izbie i wychodzi oknem, albo drzwiami na zewnątrz. Nie przeszkadza to jednak innym mieszkańcom w ich pracy w tej samej izbie. Wprawdzie pracy tej mają oni tam niewiele. — Najczęściej tłuką ryż w stosownie przyrządzonym do tego moździeżu.

Moździeż do tłuczenia ryżu jest to zwykła skrzynka, zrobiona najczęściej z twardego drzewa, zaopatrzona u góry okrągłym otworem. Do skrzynki tej nasypuje się odpowiednią ilość ryżu. Następnie jeden z członków rodziny, najczęściej mężczyzna, bierze odpowiedni drąg drewniany i uderza nim w znajdujący się ryż w owej skrzyni. Czyni to tak długo, aż wszystek ryż, znajdujący się tam, przemieni się w mąkę. Otrzymaną w ten sposób mąkę wysypuje do jakiegoś innego naczynia, a do skrzynki daje drugą porcję ryżu. Taką mozolną pracę wykonuje nieraz cały dzień, podczas gdy ten sam rezultat przy użyciu choćby zwykłych żarn mógłby otrzymać w ciągu godziny.

Ale tu znów dla ścisłości dodać należy, że dzieje się to po wsiach, bardziej oddalonych od miast, gdyż mieszkańcy miast znają już dobrze pulchne bułeczki i bielutki chlebuś.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JULJAN BACZYŃSKI.

Złoty trzewiczek.

Powieść z XII wieku.

9. Strażnik zwierzyńca.

Przed dębem stanął wysoki, barczysty chłop z łukiem przez ramię przewieszonym i z oszczepem za pasem. Widać go przy świetle księżyca, co jaśniej ku północy świecić począł. Gwiznął a potem krzyknął:

— Hej babo, a nie wiesz, kto tu stoi, co?!

Pieczarzyna wyjrzała z dziupli stękając, pokasłując i plując. Zaraz dygnęła i rozśmiała się.

— Ba, a któżby, jak nie sławetny Sylwer Drążek, królewski człek, z królewskiej straży, no... Któżby nie znał, nie szanował?....

— Królewski nie bylejaki! — rzekł chłop dumnie — choć to ziemia dawna knezia Jaksy Gryfa Świebody, co też był jako król, bo nam poddanym wolność od ciężarów, podatków i wszelkich powinności wyjednał[1]).

— A jakże, znałem ci ja jeszcze Doninową dziewkę Tryksę[2]), co za nią tę ziemię Zwierzyniecką w posagu Jaksa wziął, dobra pani! Chodziłam ci ja do niej z ziołami nie raz i nie dwa razy, o!

— A jużci, znaliście, a jam to nie znał jej rodzica Piotra Donina, co nam ten kościół święty na górze wystawił, że na pogańskie bożki już miejsca niema, za co chwała Panu Jezusowi!

Baba słuchała niechętnie, kręciła się i chrząkała. Drążek przeżegnał się, ale stał ciągle w wyzywającej postawie.

— Pieczarzyno — rzekł po chwili — zagadaliście, a w dziupli tam pewnie przechowujecie zwierzynę! A dziupla wasza duża, kieby izba, pokażcie! Mnie tu gadają, ja mam srogie nakazanie!

Baba wpatrzyła się w mówiącego i rozśmiała się.

— Zwierzynę?! a jakże! Mam ci ja tu zwierza, ale nie królewskiego, tylko mojego, a też niebylejakiego!

Drążek postąpił naprzód i krzyknął:

— No dawaj!!

Pieczarzyna podskoczyła i podała mu... czarnego kota, który parsknął i na pazurach się wstrzymywał. Stary Sylwer niby się zgniewał, lecz się rozśmiał.

— Ej, babo, tyle wam zim przeszło i jeszcze figle, no!

Pieczarzyna, śmiejąc się, weszła do dziupli i zaraz z niej się wysunęła. Drążek usiadł na pniaku, postawił pod dębem swój łuk ogromny i przyjął z jej rąk drewniany kubek pełen miodu.

— Oj Sylwerku, figle nie figle, a białogłowy na co? Cóż, nie wrócą dawne młodości latka, a kupała a Wisła, co? — mówiła, patrząc w chłopa filuternie.

— Zawsze bies w tobie siedział, co kusił wszystkich! — mruknął do siebie Drążek. Spojrzał dużemi oczyma, coś pomyślał, popił miodu, spojrzał na łuk, wspomniał swój urząd, podniósł głowę.

— Ha minęło, nie wróci — rzekł głośno — niema czego żałować! Jest Pan Jezus prawdziwy, dobry i miłosierny, co pociesza i uzdrawia, z nim zmieniło się wszystko!

Baba chrząknęła, przysiadła pod dębem, Drążek powstał.

— Bóg wam zapłać Pieczarzyno, miód słodki, lipcowy, nie leśny, skąd macie?

— A bo to Waligóra i Zaliwa nie gospodarze, co, a pasieki? I biednej nie pożałują, o!

Sylwer przechylił kubek, wypił resztę, smakując.

10. Królewska dziewczyna.

— Drążku, a kiedy łowy? — spytała stara.

— A na co wam to, hę?

— O, lubię patrzeć na tych knezików strojnych, co tak wesoło po naszej puszczy i chodzą i biegają i trąbią i wołają hop, hop! A zwierzyna tak hula tu koło dębu i stoi i czeka, że jeno brać za rogi, za ogony...

— Tak ci wam!.. Ale łowów nie będzie rychło, bo król Bolko gdzieś tam u Prusaków, gadają, ma dość kłopotu z bratem, nie o łowach mu myśleć [1]).

Spojrzał w las za jakiemś echem, co się rozległo.

— Ale kto wie, może będą wnet, zwierzyny moc, zwierz się mnoży i nie bylejaki, ho!

[1]) Działo się to właśnie w tym czasie, gdy zakładano klasztor PP. Norbertanek (1162) i gdy Jaksa oddawał im własną wieś Zwierzyniec, jakoteż wyproszoną przez niego u króla puszczę nad Wisłą. Dopiero później po napadzie Tatarów (1241), gdy Zwierzyniec królewski zupełnie zniszczony został, ofiarowali królowie polscy wydzielone tu kawałki na własność włościanom.

[2]) Beatryksa.

[1]) Bolesław Kędzierzawy, drugi syn Bolesława Krzywoustego panował od r. 1146—1173. Miał zatargi z najstarszym bratem Władysławem II, który ożeniony z Niemką i ciążąc do Niemiec, został z Polski wypędzony, a ziemię jego Śląsk, dopiero po jego śmierci otrzymali jego synowie. Bolesław Kędzierzawy przedsiębrał dłuższe wyprawy do Prus, zmuszając je do hołdownictwa i rozszerzając tam wiarę chrześcijańską.

— A jużci — przerwała baba z zapałem — jelenie mi tu koło dębu skaczą, beczą, rogami tłuką, zające, lisy gwiżdżą, piszczą, a wilki tam od Wilczego dołu huczą, grają, a ptaki chmurą w powietrzu fiu, fiu, świergolą, dzwonią, spać mi nie dadzą, ej!

Pieczarzyna powstała i obiema rękami pokazywała do księżyca ruch zwierząt i ptaków.



— A cóż to nie słyszę, boginki na Wiśle do księżyca piorą!

Jakiś stuk powtarzający się kilkakroć od Wisły się rozległ. Drążek oddał kubek, pochwycił łuk, naciągnął bełt[1]) i z łukiem przy ramieniu wykręcił się pod górkę.

— Pieczarzyno a niedźwiedzia się nie boicie? — zapytał.

— Ja, misia, o sworożyce?[2]) A dyć on tu przyjdzie czasem do mnie, stanie jak chłop i białymi zębami do mnie się śmieje...

— Żeby was tak łapą zamalował przez ucho, no?! — rozśmiał się stary, ukazując ręką.

— Mnie Drążku, mnie? — pytała zaufana w siebie baba. — A maść wężowa z czosnkiem na co, hę? Jak ci się nią cała pomaszczę, to mu zaraz jak sroczka pod nos furknę i w powietrzu fruwam sobie koło dębu, a miś do mnie w górę zębami dzwoni i dzwoni...

— Tfy, łże czorownica! — szepnął do siebie Drążek i odwrócił się.

Znów stukanie kilkakrotne od Wisły się rozległo. Sylwer ruszył się iść.

— Już? — zapytała Pieczarzyna.

— Ano nie słyszycie, jak mi częstokół psują, a częstokół królewski nie bylejaki, straszny i gruby, całą het puszczę naszą otacza od Wisły do Wisły, mało kosztuje?! Albo go niedźwiedź drze, spina się i chce wyjść, bo mu ciasno i barci mało, albo hultaje się cisną za zwierzyną!

Baba skoczyła żywo.

— Częstokół, gadacie? A cóż to nie słyszę, boginki na Wiśle do księżyca piorą, tłuką się, a mało ich, nie wiem to, hę? Nie częstokół!

— Ej babo, z twojemi czarami, boginkami, nijakich niema na świecie, tfy! Ksiądz mówił, Pan Jezus ci nie odpuści, o!

Pieczarzyna szarpnęła obie ręce w górę.

— Co? — wrzasnęła, zaperzając się i wpadając w niewstrzymaną gadatliwość — boginek niema, tak jak biesów niema, bo się przed tymi kościelnymi dzwonami utrzymać nie mogą, i jak wróble po lesie się rozlatują...

— Tfy... w imię Ojca... stara pleciugo! — zawołał Drążek, odskakując od dębu.

— W zimie to bieski najlepiej pod przerębłą się kryją — trzepała dalej baba — bo tam głos dzwonu nie doleci, ale latem...

— No to wraź-że ich sobie do twojej dziupli, kiedy ich tak miłujesz... tfy... w imię Ojca...

— A nie chwycili to jednego rybacy pod przerębłą? Trzymał ci w pysku ogromnego szczupaka i szast, szast koźlim łbem po łodzie, w tem dzwon jęknął, miły biesik pęc... oni zasię go potem do wieczora kijami prali, aż im łokcie siarką przeszły...

— Tfy... w imię Ojca! Tobieby się tak patrzało! — rzekł Drążek, czyniąc ręką znak bicia.

Znów dalekie stukanie się ozwało.

Starą złość ogarniała, nie wiedziała jak się ma zemścić.

— Ha, nie wierzycie, a to niechżetam! — syknęła. Jak wam psują hultaje częstokół, to nie kto inny, tylko ten ostry Kordas, tak to on, to on, to on!!

Sylwer już szedł ku Wiśle.

— To jeno Kordas jeden jest? — mruknął za sobą. — Niech wszyscy będą tacy jak Bartos, o! I szedł żywo, myśląc o swej Zofce jedynej.

Doświadczony chłop cenił Bartosza, bo był pracowity i uczciwy, i wiedział, że ta jego burzliwość i bezbożność są powierzchowne i znikną, kiedy połączy się z jego stateczną córką.

11. Czartowskie granie.

Pewnego ranka biegł Piotruś ze skrzypcami pod górę do kościoła na mszę świętą. Biegnąc szybko spostrzegł zdaleka, że choć było jeszcze dość wcześnie, już tam ktoś koło zamkniętej bramy się kręci. Stanął i przypatruje się, chcąc poznać osobę.

— To nie kościelny, to ktoś inny, ale znajomy! — szepnął do siebie, postępując dalej. W tej chwili przyskoczył do niego krępy parobczak, a chwytając go za płótniankę, drugą ręką uderzył go po skrzypcach, aż zabrzęczały. Pietrek odwrócił się bokiem.

— A, to ty Bartos, zawsześ jednaki — rzekł z uśmiechem — chodź, pójdziemy obaj do kościoła!

— O nie myślę tak się Panu Bogu naprzykrzać, jak ty. co widzę do nieba chcesz się żywo dostać!

Urwał a i Pietrek milczał przez chwilę.

— No, a cóż ty tu robisz? — zapytał Pietrek.

— Ja?... oto gwarzę sobie z biesami! — rzekł z głupią miną Bartos i głośno się rozśmiał.

— Co ty gadasz?! — zawołał z oburzeniem Pietrek. Kordes chwycił go mocno za rękę i w dół pociągnął.

— No, posłuchajże, jak tu w tych dziurach piszczy!

Pietrek pochylił się do czarnych dziur, które w zewnętrznej ścianie kościoła były wyżłobione i z dawnych musiały pochodzić czasów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) Strzała mająca do trzech metrów długości.

[2]) W Polsce Swara-nic czyli Zwierzyniec miał być przybytkiem pogańskiego boga Swaroga i pomniejszych złośliwych bóstw Swarożyców. Jeszcze za Bolesława II Śmiałego (1058 do 1079) miała służyć do wróżb pogańskich klacz, kryta purpurą i bisiorem a konik zwierzyniecki był pewnie koniem bożka Swarożyca. Tak pisze Kolberg. — Zwierzyniec dla królewskich łowów miał już być przed Bolesławem Kędzierzawym (Życie św. Bronisławy str. 42 i 46), według kroniki Kromera (str. 301) założył go król Kazimierz Sprawiedliwy (1177—1194).

Boża krówka.

Działo się to w czasach, kiedy magnaci byli panami życia i śmierci wieśniaków. Zdarzyło się pewnego dnia, że brat jednego z magnatów znaleziony został bez życia za polowym płotem. Magnat rozgniewany i smutny — kochał bowiem brata swego całem sercem, zarządził energiczne poszukiwanie mordercy, obiecując sobie wymierzyć mu straszną karę.

Tego samego wieczoru, podczas kiedy klęcząc i płacząc przy zwłokach nieboszczyka modlił się za jego duszę, hałaśliwy tłum zbliżył się do zamku.

Do komnaty wszedł starszy sługa dworu imieniem Croudas i oznajmił magnatowi:

— Panie, wyśledziłem sam zabójcę i poleciłem pojmać go.

— Przyprowadzić go tutaj — rozkazał magnat — przy zwłokach mego brata chcę sądzić nędznika.

Na znak Croudasa słudzy wiedli przed oblicze pańskie wieśniaka, który, upadłszy na kolana, zawołał:

— Miej litość, panie, nade mną! Nie jestem zabójcą twego brata!

Pan zażądał od Croudasa dowodów, obciążających domniemanego winowajcę.

— Nie widzisz, panie, krwawych plam na jego odzieniu? To krew brata twego, mój władco!

— Dlaczego zabiłeś go, łotrze? — zwrócił się magnat do kmiotka.

— Litości! Litości, panie! Nie jestem winien śmierci brata twego i nie wiem skąd wzięła się krew na ubraniu mojem. Dziś rano, w polu, posiliwszy się, siedząc na trawie, zasnąłem i obudziwszy się ujrzałem plamy na swem ubraniu. Może krogulec przeleciał nad moją głową, niosąc w szponach ptaszynę, ociekającą krwią...

— Spytajże, panie, tego złoczyńcę — nalegał Croudas — jakim sposobem sakiewka ta i pierścień trafiły do jego mieszkania?

— Poznaję sakiewkę i sygnet mego brata — potwierdził magnat.

— Czy oskarżony powie również, że ptaki je tam zaniosły? — szydził Croudas.

Wobec tego, że wieśniak nie umiał wyjawić, skąd przedmioty te, będące własnością nieboszczyka, wzięły się w jego chacie, magnat wydał rozkaz spalenia go żywcem.

Wyrok wykonać miano nazajutrz, skazańca więc wtrącono do ciemnicy.

Cała okolica oburzyła się na wieść, iż człowieka znanego wszystkim z nieskazitelnego życia i gołębiej dobroci obwiniono o morderstwo. Wielu udało się osobiście do zamku i padłszy na kolana przed magnatem świadczyło za nim:

„Znamy go od dzieciństwa! Muchyby nie zabił! Odrocz, panie, wykonanie wyroku! Dziś wprawdzie dowody są przeciwko niemu, ale jutro może wykryć istotnego zabójcę".

Magnat jednakże, podjudzany przez Croudasa, rozkazał przygotować miejsce kaźni, nadmieniając, że postanowił patrzeć na męki mordercy ukochanego brata.

Croudas zajął się sam przygotowaniami do egzekucji i kiedy stos dla skazańca, a tron dla magnata były wzniesione, oznajmił o tem panu, który udał się natychmiast na miejsce stracenia.

Tłumy ludzi towarzyszyły z głośnym lamentem nieszczęśliwemu wieśniakowi w jego drodze ku niezasłużonej kaźni, lecz anielski człowiek uspakajał ich, mówiąc:

— Nie płaczcie, najmilsi! Skoro sądzone mi z woli Boga umrzeć za zbrodniczy czyn, którego nie popełniłem, oddam Stwórcy memu duszę, przebaczając tym, którzy nie mieli litości nade mną.

— Przywiązać go do słupa i podłożyć ogień! — zakomenderował Croudas.

Pan milcząc przyglądał się wszystkiemu uważnie, przenosząc raz po raz wzrok z postaci skazańca na Croudasa i służalców, stojących z palącem się łuczywem przy stosie.

— Pośpieszajcie! — zawołał Croudas, widząc, że zwłóczą z wykonaniem rozkazu.

— Ach, pozwólcie mi zmówić pacierz! — błagał biedny wieśniak.

— Wiązać natychmiast! — ryknął Croudas do pachołków.

Magnat jednak, usłyszawszy błagalny szept skazańca, rozkazującym gestem wstrzymał służalców i nie uszedł uwagi jego wyraz zniecierpliwienia na twarzy Croudasa.

Wieśniak tymczasem, trzymając oczy spuszczone, zgiął kolana, by uklęknąć na kamieniu nieopodal pańskiego tronu.

Ujrzawszy jednak mały czerwony owad w tem miejscu, gdzie miał oprzeć kolana, nie chcąc go rozdusić, usunął go palcem ostrożnie w stronę.

Pan zauważył to.

Poczem wieśniak ukląkł i zaczął modlić się. — Mały czerwony owadek tymczasem, rozwinąwszy swe barwne skrzydełka, uleciał z kamienia i opadł na lewą rękę Croudasa. Pan przyglądał się zwierzątku.

Croudas niecierpliwym ruchem prawej dłoni nacisnął je i... z ślicznego, maleńkiego, niewinnego żyjątka pozosała czerwona plamka tylko, na lewej dłoni jego oprawcy.

Pan widział to. W chwili, kiedy skazaniec skończywszy się modlić, wstał z klęczek i służalcy mieli go do stosu prowadzić, magnat zszedł nagle ze swego tronu wołając:

— Puście go. On nie jest zabójcą mego brata.

Mówiąc to, pan nie tracił z oczu twarzy Croudasa i spostrzegł, że przybladła.

Mimo to Croudas podszedł doń, pytając pokornie:

— Ależ, panie! Dowody są! Jeżeli uważasz je za niedostateczne dla skazania tego człowieka, kogo posądzasz o zbrodnię?

— Kogo? — odparł magnat patrząc mu w oczy. — Ciebie może, Croudasie!

— Mnie, panie?! Mnie?! — zawołał stropiony do reszty Croudas.

— Tak jest. Ciebie, Croudasie! Ciebie, bo patrz, krwawa plama jest na twej dłoni! Zabiłeś małe niewinne żyjątko, które z ufnością usiadło na twem ręku, a które niesłusznie na śmierć skazany wieśniak nie chciał pozbawić życia. Ty zabiłeś brata mego, Croudasie! Przyznaj się do zbrodni!

— Związać go! — zwrócił się pan do służalców.

Croudas wówczas ze zbielałą twarzą wyznał urywanemi słowy, że w obawie, aby nieboszczyk, wtajemniczony w jego przeniewierstwa, nie wydał go przed bratem, zabił go, i ujrzawszy wieśniaka, siedzącego na trawie i posilającego się, wlał mu podstępnie nasennego środka do napoju, a kiedy zasnął, poplamił odzież jego krwią zamordowanego; poczem ukrywszy w zanadrze sakiewkę i pierścień ofiary, podrzucił je przy rewizji w chacie wieśniaka.

Skończywszy zeznanie, Croudas padł do nóg panu swemu, błagając go o zmiłowanie. Ale magnat nie dał się wzruszyć jego łzami. Nikt też z obecnych nie wstawił się za winowajcą, który został natychmiast spalony żywcem. Niewinny zaś a miłosierny wieśniak zajął z najwyższego rozkazu stanowisko oszczercy — starszego i zaufanego sługi w zamku.

Cała okolica twierdziła, że Pan Bóg zesłał umyślnie mały czerwony owad, ażeby natchnął pana sprawiedliwym sądem.

Oto dlaczego nazwano boże krówki „Bożemi krówkami" i dlaczego są w tak wielkiem poszanowaniu u ludzi.

Eugenjusz Mueller.



Poradnik gospodarczy.

Jak się robi dobre masło?

Niejednokrotnie gosposie nasze narzekają, że z uzbieranej śmietany otrzymują mało masła, albo to masło jest nie takie, jakieby mieć chciały. Jak we wszystkiem, tak i tu trzeba przestrzegać pewnych zasad, ażeby się rzecz powiodła. Nieodpowiedni wydatek masła z pewnej ilości śmietany lub też wady masła powstają przez zaniedbywanie drobnych napozór ostrożności, na które za małą uwagę się zwraca, jako na drobnostki bez znaczenia.

Już samo nieopowiednie przygotowanie maślnicy przed jej użyciem może zmniejszyć wydatek masła. Aż nadto często do płukania maślnicy używa się zimnej wody lub też zaledwo letniej. Postępowanie takie, to gruby błąd. Do pierwszego przepłukiwania trzeba wziąć gorącą, prawie wrzącą wodę i tak należy płukać, żeby wszystkie wewnętrzne ściany i części maślnicy tym wrzątkiem dokładnie były opłukane. Do drugiego płukania używa się zimnej wody. Wrzątek sprawia otwieranie się słojów drzewnych (to znaczy drobnych otworów) w maślnicy, wnika w te słoje, czyści je, a po wypłukaniu zimną wodą słoje te wracają do pierwotnego stanu. Jeżeli zaś maślnicę nieodpowiednio wypłuczemy, to słoje w miejsce wody wchłaniają śmietanę i ta ilość śmietany, choć napozór niewielka, nie da nam masła.

Znajdujemy też przy podobnem postępowaniu w maślance większą zawartość tłuszczu, jak przy właściwym przebiegu znaleźć się powinna.

Przy czyszczeniu maślnic musimy uwagę zwrócić na takie, które przez dłuższy czas źle, niedokładnie były czyszczone, które zanadto mało schły na powietrzu, tudzież na takie, u których ściany są chropowate, szorstkie.

Nie należy dalej zbytnio napełniać maślnicy śmietaną, albowiem wtedy nietylko mniejszy bywa wydatek masła, ale takie przepełnienie wpływa niekorzystnie na smak masła. Lepiej więc o jeden raz więcej masło robić, jak przepełniać maślnicę.

Najwięcej znaczy przy robieniu masła temperatura czyli ciepłota śmietany i to zwłaszcza w lecie. W gospodarstwach, które nie rozporządzają lodowniami lub chłodniami trudno zapobiec tym złym skutkom wyższej ciepłoty, chyba że ma się do dyspozycji bardzo zimną wodę źródlaną lub studzienną.

Ponieważ zawartość tłuszczu w maślance zależy od ciepłoty śmietany, więc trzeba na tę okoliczność zwrócić baczną uwagę. Jeżeli jest lodownia na miejscu, to wstawić, aby się odpowiednio ochłodziła. Praktykowane wrzucanie kawałków lodu do śmietany jest nieodpowiednie. Lód jest rzadko tak czysty, ażeby chłodzenie wrzucanym lodem nie wpłynęło niekorzystnie na smak i trwałość masła. Ciepłota śmietany powinna wynosić 9 do 10 stopni Celziusza.. Jeśli masło kilkakrotnie w tej samej maślnicy się robi, trzeba, zawsze za każdym razem dobrze wypłukać zimną wodą maślnicę, ażeby ściany dobrze się ochłodziły; wtedy śmietana nie ociepli się zbytnio.

Dalej trzeba zwrócić baczną uwagę na przebieg zmaślenia się. Jeżeli przeoczymy, zwłaszcza podczas lata, zbijanie się kuleczek tłuszczowych w większe grudki maślane, to otrzymane masło będzie wadliwe. Samo obserwowanie termometru nie wystarcza. Powinno się kilka raczy wieko podnosić, zaglądać, jak się zbijanie odbywa i do tego stosować poruszanie tłokiem, czy też korbą, ażeby przez za silne obroty nie rozbić kuleczek. Powinno się jakiś czas pozostawić, ażeby stężały, gdyż wówczas dobrze się da masło, czy to na wygniataczu, czy też na misce zbić.

Jeżeli używamy wygniatacza, to tak, jak maślnice drewniane, trzeba stół i wygniatacz opłukać najpierw wrzącą, a potem zimną wodą. Podczas ugniatania nie powinno się płukać wodą, gdyż woda ta wygnieciona zabiera właściwy aromat, to jest zapach, który się z podkwaszonej śmietany w maśle wytworzył. Nie należy również całej ilości otrzymanego masła naraz wygniatać. Przy większej ilości grudek tłuszczowych naraz wygniecionych otrzymujemy masło maziste a nie jędrne. Masła nie powinno się wcale ręką dotykać, gdyż wydzieliny potowe i brud łatwo w masło wnikają i otrzyma się masło niesmaczne i łatwo jełczejące.

Dla tych to powodów należy używać do ubijania masła na miskach, ważenia i układania w formy drewnianych łyżek o odpowiednio długich rączkach. Łyżki po użyciu i przed użyciem należy również sparzyć najpierw wrzącą wodą, a potem zimną popłukać.

W ten sposób postępując, wyrobimy dużo dobrego masła, które znajdzie chętnych kupców.



Jesienią.

Z nad pastuszego wstające ogniska
Błękitne dymy w powietrzu się wloką
Daleko, szeroko,

Na czarne role, na płowe ścierniska.
We mgle majaczą białe grzbiety wołów
I pługi — rzędem ciągnące na roli
Leniwie, powoli,

Pod niebem szarem i ciężkiem, jak ołów.
Wron stada kraczą nad zoraną smugą
I za wołami krzyczą poganiacze
Żałośnie i długo
A wiatr w pożółkłych drzewach cicho
płacze.

KRONIKA.

Tegoroczna zima. Dyrektor obserwatorjum Talenze koło Bordeaux we Francji, profesor Menery, który badaniem plam słonecznych zdobył sobie wybitne imię w dziedzinie astronomji, przepowiada na podstawie swoich długoletnich spostrzeżeń bardzo ostrą zimę na 1929/30 r. Wszyscy uczeni zgodzili się już dawno z faktem, iż plamy na słońcu wywierają zasadniczy wpływ na kształtowanie się pogody. Prof. Menery nietylko jednak z plam słonecznych, lecz i z innych osobliwych faktów prorokuje specjalnie ostrą tegoroczną zimę. Uczony francuski ustalił mianowicie, iż po 9 perjodach plam na słońcu, a więc po 100 latach — każdy perjod plam słonecznych oblicza on na 11 lat — oczekiwać należy ostrej zimy. Istnieją ponadto inne niechybne znaki, każące wróżyć przykre mrozy. Oto dziwnym zbiegiem okoliczności stan wód na Nilu wywiera na charakter zimy europejskiej, jak wykazały doświadczenia, równie silny wpływ, jak wylewy w dorzeczu Indusu. Przyczyna tego związku nie jest na razie wyjaśniona. Stwierdzono jednak niezbicie, iż po wielkich wylewach Nilu i Indusu następują w środkowej Europie ostre zimy, gdy przeciwnie, po okresach suchego lata w Indjach i niskiego stanu wód na Nilu w Egipcie następują w Europie zimy łagodne. I tak w latach 1860, 1870, 1878, 1879, a ostatnio znowu w 1906, notowano wielkie wylewy w dorzeczu Nilu. We wszystkich wyżej wspomnianych latach Europa przeżyła bardzo ostre zimy. Podobnie rok 1920 odznaczył się niezwykle silnymi wylewami Nilu i Indusu, a równocześnie ostrą zimą w Europie. Z tego względu należy się spodziewać, iż zima tegoroczna będzie ostra i długotrwała. Innnym wreszcie szczegółem, z którego meteorologowie wróżą również ostrość zimy, jest kwestja poprzedzającego ją gorącego lata. W większości wypadków, jak wykazały obserwacje, po bardzo gorącem i długotrwałem lecie, a takiem było tegoroczne, następują ostre i długotrwałe zimy. Ano do zimy niedaleko, więc zobaczymy, jak to będzie.

Podwyżka cen soli. Na podstawie rozporządzenia ministra skarbu, cena soli jadalnej została podwyższona i wynosi w sprzedaży detalicznej za 100 kg. 35 złotych zamiast dotychczasowych 34 zł. Nowa cena obowiązuje już od dnia 1 października. W drobnej sprzedaży podwyżka ta powinna wynosić 1 grosza na kilogramie.

Nowe mundury dla kolejarzy. Minister komunikacji zadecydował ostatecznie o wprowadzeniu nowego wzoru mundurów dla pracowników kolejowych. Kolor munduru będzie granatowy dla wszystkich pracowników P. K. P. Krój munduru będzie zbliżony do dawnego typu mundurów kolejarzy austrjackich. Wprowadzone będą wysokie czapki na wzór włoskich. Mundury niższych funkcjonarjuszy będą posiadać kołnierze stojące, gwiazdki i paski srebrne, wyżsi funkcjonarjusze kołnier e wykładane, gwiazdki i paski złote. Każdy rodzaj służby odróżniać się będzie kolorem. Dyrektorzy dyrekcyj kolejowych będą również nosić mundury w czasie pełnienia służby. Nowe przepisy wejdą w życie dnia 1 października 1930 roku.

Z życia młodzieży wiejskiej. Z Rząski w powiecie krakowskim piszą nam: W Rząsce, pow. Kraków, został założony ludowy klub sportowy „Warna“. Na protektora nowozałożonego klubu Walne Zgromadzenie założycielskie wybrało przez aklamację Najczcigodniejszego księcia metropolitę krakowskiego księcia Adama Sapiehę. Zarząd klubu ukonstytuował się w następującym składzie: Prezes Antoni Śliwiński, wiceprezes Józef Czepiec, sekretarz Stanisław Marcinkowski, skarbnik B. Legon, członkowie: Andrzej Kaszuba, Stanisław Czepiec, Józef Nęcka. Nowozałożony klub posiada dwie drużyny piłki nożnej, własne boisko footbalowe. W projekcie jest założenie kilku nowych sekcyj. Ze względu na propagandę sportu wśród młodzieży wiejskiej założenie klubu sportowego w gminie Rząsce należy z całem uznaniem pochwalić i spodziewać się należy, że klub ten będzie mógł zawsze liczyć na poparcie wśród ludności wiejskiej.

Świętokradztwo. W nocy z 14 na 15 b. m. niewyśledzeni dotychczas sprawcy dostali się przez odsunięcie zasuwy do kościoła w Brzozowej w powiecie tarnowskim, gdzie skradli 3 kielichy, monstrancję, puszkę, srebrną ampułkę i 3 srebrne pateny. Wartość skradzionych przedmiotów oceniają na 3.700 złotych. Za świętokradcami śledzi policja.

Bandytyzm na Podhalu. W ubiegłym tygodniu do zamożnego gospodarza S. Miętusa w Miętustwie, w Czarnym Dunajcu, o godzinie 3 w nocy wtargnęło do mieszkania oknem kilku opryszków, uzbrojonych w kije, gdzie spał gospodarz z żoną, córkami i zięciem. Przypuszczając, że pieniądze znajdują się w komorze, bandyci usiłowali oderwać zamek od drzwi. Posłyszała tę manipulację jedna z córek Miętusa, pochwyciła miotłę i zaczęła grzmocić napastników. Zbudzeni hałasem domownicy pozrywali się z łóżek, co widząc bandyci, uszli, nie zabrawszy nic z sobą. Dzięki przytomności niewiasty skończyło się tylko na poturbowaniu gospodarza.

Skrytobójcze morderstwo. Onegdaj popełniono w Jajkowcach, w powiecie żydaczowskim morderstwo na osobie Leona Burego. Oto w nocy, kiedy denat wracał z wesela przez las, został zamordowany w sposób skrytobójczy przez nieznanego na razie sprawcę. Morderca uderzył Burego kołem w głowę, tak, że wskutek pęknięcia czaszki śmierć nastąpiła momentalnie. Prawdopodobnie Bury zamordowany został z zemsty, gdyż w czasie wesela pobił trzech osobników i możliwe, że jeden z pobitych w tak straszny sposób się zemścił na nim. Dochodzenia w toku.

Sosnowiecki prorok. Do Sosnowca przybył z powiatu olkuskiego niejaki Michał Łach, który zapowiada bliski koniec świata, pozatem zaś uprawia znachorstwo. Łach przepowiada bliski upadek bolszewizmu, który nastąpi jeszcze przed końcem świata, a oczywiście będzie straszniejszy od upadku caratu. Łach opowiada, że w Rymanowie ukazał mu się Pan Bóg, który kazał mu iść między ludzi i nauczać ich, co też czyni. Miejscowa policja przyaresztowała Łacha dla wylegitymowania go i ewentualnego zbadania jego poczytalności umysłowej. Jak się okazało, jest to były nauczyciel szkoły powszechnej, prawdopodobnie nie tyle oszust, ile pomieszany na umyśle. Przed komisarjatem, w którym odbywało się badanie Łacha, gromadziły się tłumy ludzi, którzy, przewidując najwidoczniej osadzenie osobliwego proroka na czas dłuższy, znosili mu zapasy żywności, mimo to jednak (na wszelki wypadek) domagając się wypuszczenia go na wolność.

Walka z przemytnictwem. Na odcinku granicznym pod Maciejkowicami funkcjonarjusze śląskiej straży granicznej natknęli się na 8 przemytników, wracających z towarem z Niemiec do Polski. Gdy na wezwanie strażników przemytnicy nie zatrzymali się, straż oddała w kierunku uciekających kilka strzałów, z których jeden ranił przemytnika Piotra Drabika w udo. Przemytnika odwieziono do szpitala w Szarleju, gdzie po paru godzinach zmarł. Poza tem zatrzymano dwu przemytników, przy których znaleziono większą ilość rodzynek i cygar pochodzenia niemieckiego.

Tajemniczy więzień w Warszawie. Władze policyjne w Warszawie prowadzą obecnie energiczne śledztwo celem ustalenia identyczności przebywającego w wię-

zieniu śledczem od 20 miesięcy wybitnego działacza komunistycznego Dawida Reicha. Więzień jest wybitnym działaczem komunistycznym, do czego przyznał się, odmawiając wymienienia swego rzeczywistego nazwiska, co spowodowało odroczenie rozprawy przeciwko niemu. Obecnie badanie dokumentów wykazuje, że dokumenty jego, mające pozory autentyczności, są misternie podrobione. Gdy przed kilku dniami rozeszła się wieść o tajemniczym więźniu, otrzymała policja szereg najrozmaitszych wyjaśnień co do jego osoby. Wedle jednej wersji więźniem tym ma być rzekomo znany dyplomata sowiecki Joffe. Wedle innej znów wersji pod nazwiskiem Reicha kryje się jakoby członek jednej ze znanych i szanowanych żydowskich rodzin ze sfer kupieckich.

Kłopoty posłów i senatorów. Jak donosi „Dziennik lwowski", kasa sejmowa otrzymała w ostatnich czasach liczne zgłoszenia sądowe, nakładające areszt na pensje posłów i senatorów, którzy napożyczali pieniędzy na weksle, a teraz ich płacić nie chcą. Posłów takich ma być przeszło 50 i ci właśnie z tego powodu, jak twierdzi owa gazeta, pensyj nie otrzymali. Gdyby tak było rzeczywiście, nie możnaby się im dziwić, że koniecznie obecny rząd chcą obalić, a sami dorwać się do żłóbka.

Oszust w sutannie. Z Łodzi donoszą: Ujęto tu ostatnio sprytnego oszusta w sutannie, który od dłuższego czasu grasował na terenach powiatu tureckiego i kaliskiego, zbierając datki rzekomo na rzecz misji katolickiej. Na widok policji oszust zrzucił sutannę i rzucił się do ucieczki, został jednak ujęty. Jest to Roman Buczyński, z zawodu cukiernik.

Świeczka szabasowa przyczyną pożaru. Z Lublina donoszą: Onegdaj wybuchł groźny pożar w miasteczku Krasiczyn pow. konstantynowskiego. Miasteczko to jest wyłącznie zamieszkałe przez biedną ludność żydowską, która krytycznego dnia z okazji dorocznego święta dnia sądnego w większości swej przebywała w domu modlitwy. Ta okoliczność sprawiła, iż przeciwdziałanie żywiołowi ognia było opóźnione tak dalece, że z kilkudziesięciu domów nie zdołano nawet uratować mienia. Nadzwyczaj silny wiatr sprzyjał rozszerzaniu się pożaru. Zanim przybyły na ratunek okoliczne straże pożarne, połowa Krasiczyna padła pastwą płomieni. Straty wynoszą przeszło 300.000 złotych. Przyczyną pożaru było pozostawienie w pewnem mieszkaniu zgodnie z rytuałem świeczki, która przewróciła się pod nieobecność domowników i wznieciła pożar.

Krwawa kąpiel dziecka. W Bydgoszczy zdarzył się na tle znachorstwa ciekawy wypadek, który wywołał olbrzymią sensację w mieście. Otóż w jednym z domów na Okólniku, w mieszkaniu jakiegoś robotnika kolejowego, zobaczyli sąsiedzi przerażającą scenę: Matka trzymała w rękach małe krzyczące dziecko, które ociekało gęsto krwią, tak, jakby z niego zdarto skórę Przerażeni sąsiedzi pobiegli natychmiast po pomoc i zaalarmowali na ulicy posterunkowego policji. Gdy policja weszła do mieszkania, zastała dziecko mocno aż po czub głowy okrwawione, ale zupełnie zdrowe. Matka zapytana o przyczynę tego zjawiska, oświadczyła, iż jeden ze znachorów w Czyżkówku pod Bydgoszczą doradził jej, aby w celu wzmocnienia zdrowia dziecka, wykąpała go we krwi, a obojętne jest, ludzkiej czy zwierzęcej. Troskliwa matka udała się do rzeźni miejskiej, zakupiła ze świeżego uboju kilka litrów krwi i wykąpała w niej dziecko. Kąpiel przy otwartych drzwiach wywołała tak olbrzymią panikę w domu. I mógłby tu kło twierdzić, że niema głupich ludzi na świecie.

Zatrute ryby w Warcie. Fale Warty na długiej przestrzeni niosą od pewnego czasu całe masy zatrutych ryb. Przyczynić się miała do tego któraś z miejscowych fabryk, wypuszczając do rzeki trujące substancje. Podług obliczeń dotychczasowe straty w rybostanie Warty są z tego powodu bardzo znaczne. Miarodajne czynniki podjęły starania celem przeciwdziałania temu szkodliwemu stanowi rzeczy.

Tajemnicze kaprysy natury. Gazety węgierskie podały niedawno następującą wiadomość: W czasie silnej burzy, która przeszła nad O-Buda, przedmieściem Budapesztu, piorun uderzył w grupę kalwaryjską, stojącą na wzniesieniu. Skutkiem uderzenia gromu zdruzgotana została zupełnie statua złego łotra, a krzyż i statua dobrego łotra pozostały nietknięte, co więcej, lampa wieczysta u stóp krzyża paliła się w dalszym ciągu zupełnie spokojnie. Tłumy ludzi na wieść o tem pospieszyły oglądać miejsce wypadku. Podając ten fakt do publicznej wiadomości, gazety francuskie przypominają o innem autentycznem zdarzeniu, które miało miejsce w pobliżu znanego we Francji kościoła w Bétharran. Znajduje się tam wielka Kalwarja ze wszystkiemi stacjami drogi krzyżowej. W tym roku stacja XII ta, a na niej trzy krzyże i statuy wymagały koniecznej naprawy. Dziwnym zbiegiem okoliczności, dzięki działaniu wpływów atmosferycznych i prawu ciążenia, dobry łotr, wiszący na swym krzyżu coraz bardziej zwracał się do krzyża Chrystusa, który pozostał nieruchomy, a zły łotr przeciwnie, coraz bardziej od środkowego krzyża się oddalał. Gdy zdjęto z krzyżów trzy ciężkie, ważące po 400 klg. figury, znaleziono w figurze Chrystusa usadowiony rój pszczół, w dobrym łotrze muchy, a w złym całą masę złośliwych os. O tych faktach, zupełnie naturalnych, ale dziwnych, zaświadczyć mogą jeszcze dzisiaj robotnicy, pracujący podówczas w Bétharran.

Prośba o powieszenie. Z Budapesztu donoszą: Przed kilkoma dniami skazany został na dożywotnie więzienie za zamordowanie swej żony robotnik August Magyar. Po ogłoszeniu wyroku błagał on swego obrońcę, ażeby wniósł podanie do sądu o zmianę wyroku na karę śmierci przez powieszenie. Ponieważ obrońca wzbraniał się wnieść taką prośbę, więzień oświadczył, że uczyni to sam.

Niezwykle zuchwała złodziejka. Przed sądem przysięgłych we Wiedniu stanęła onegdaj niezwykle zuchwała złodziejka, Teresa Schindelweg, która dokonywała kradzieży w samych koszarach policji, gdzie była zajęta jako posługaczka. Od lata 1924 roku dokonywano w koszarach policji tamtejszych kradzieży. Ginęły z kuferków policjantów małe i duże kwoty pieniężne, ubrania i różne wartościowe przedmioty. Policjanci nie mogli wpaść na trop zagadkowego złodzieja. Aż oto w maju 1928 roku wyjaśniła się zagadka. W nocy otworzył nieznany sprawca żelazną kasetkę w biurze nadkomisarza i skradł kwotę 1.379 szylingów. Aresztowano pod zarzutem kradzieży Teresę Schindelweg, która w tym dniu sprzątała w biurze. Przyznała się ona, że w ciągu czterech lat okradała systematycznie koszary policji. Znaleziono potem za jej łóżkiem w ścianie wmurowaną żelazną kasetkę, która służyła złodziejce za skrytkę. W skrytce tej znaleziono jeszcze sumę 480 szylingów i skradzione rzeczy.

Dlaczego się ludzie rozwodzą? Zdawałoby się, że małżeństwa rozchodzą się tylko z bardzo ważnych powodów, a przecież tak nie jest. Często drobny wypadek, pozór nawet jakiś doprowadza ludzi do rozwodu. O dwóch takich wypadkach donoszą gazety zagraniczne. Oto pewien 60-letni profesor wiedeński wniósł skargę rozwodową przeciw swej 20-letniej żonie tylko dlatego,

że jest ona zbyt piękną. W skardze swej pisze ów profesor: „W jej obecności tracę głowę, muszę ją ciągle mieć na oczach! Nie jestem już w stanie zebrać myśli i pracować, co grozi mi duchową i materjalną ruiną. Jej chłodny temperament naraża mnie na niewypowiedziane męczarnie, ja bowiem, pod wpływem miłości odmłodniałem i goreję nieustannem pragnieniem pieszczoty“. Czy biedak ów otrzyma rozwód, narazie niewiadomo. A oto inny wypadek. Tym razem w Londynie. Pewna pani ujrzała jednego dnia ze zgrozą, jak uchodzący dotychczas za wzór cnoty jej małżonek uśmiecha się przez okno do młodej sąsiadeczki z przeciwka.

— To jest twoja kochanka, bezczelny rozpustniku, sodomito i zbrodniarzu! — zawołała owa pani — i natychmiast zażądała rozwodu.

Dotrzymał przyrzeczenia małżeńskiego po 65 latach. Gazety berlińskie donoszą o wypadku, który świadczy o stałości charakteru i wierności. Niejaki Jakób Schwartz z Kanzheim, który przed 65 laty, jako młody, 26 letni człowiek, wywędrował do Ameryki, opuszczając Niemcy, przyrzekł pewnej młodej dziewczynie, nazwiskiem Frieda Schmidt, że powróci i ożeni się z nią, jak tylko dorobi się w Ameryce majątku. Kochająca go Frieda obiecała czekać. I oto dzisiaj, po 65 latach, Schwartz, zamożny 91 letni staruszek, wrócił do Europy, aby dotrzymać przyrzeczenia. A panna Frieda, licząca już również około 90 wiosen, poczyniła wszystkie przygotowania do wesela.



Na naszym obrazku widzimy oboje „państwo młodych“, pooranych już zmarszczkami starości, ale mimo to dobrze się trzymających, znajdujących się u pastora tuż przed złożeniem dozgonnej przysięgi wierności małżeńskiej.

Ucieczka z raju bolszewickiego. Przed bramami Moskwy zebrało się ostatnio około 5.000 włościan z Sybiru, Krymu i półn. Kaukazu. Oczekują oni na wizy wyjazdowe z Rosji sowieckiej, ponieważ zamierzają udać się do Kanady, skąd pokrewne organizacje religijne, rzymsko-katolickie, luterańskie i mennonitów wysłały im pieniądze na koszta podróży. Chodzi tu głównie o włościan pochodzenia niemieckiego, którzy zamierzają opuścić Rosję, ponieważ, jak opowiadają, nędzne żniwa, prześladowania religijne oraz cała polityka rolnicza rządu uniemożliwiły im dalszy pobyt na terenie Rosji sowieckiej.

Jak w bajce. W ostatnich dniach przybył do Londynu książe Piotr czarnogórski wraz ze swoją małżonką księżniczką Violettą. Jak wiadomo, po abdykacji króla Mikołaja Czarnogóra została włączona do państwa jugosłowiańskiego i straciła tem samem swoją niezależność. Król Mikołaj przeniósł się ze swoją rodziną do Nicei i tam zmarł. Synowie jego w dalszym ciągu mieszkają we Francji. Książę Piotr, drugi syn króla Mikołaja, przebywa stale w Beaulieu wraz ze swoją żoną, która jest córką sierżanta policji londyńskiej, a z którą w swoim czasie poznał się, gdy była jeszcze artystką w teatrze rozmaitości. Z domu jest ona panną Wegner, a wyszła za mąż za księcia Piotra przed sześciu laty z wiedzą i zgodą króla Mikołaja. Księżniczka Violetta jest bratową królowej włoskiej i przez swoje małżeństwo jest obecnie spokrewniona z kilkoma dworami królewskiemi. Małżonkowie stanowią typowe małżeństwo z miłości. Przez cały czas utrzymywano to małżeństwo w tajemnicy i dopiero niedawno zostało ono publicznie ogłoszone. Książęca para zamierza spędzić dwa tygodnie w Anglji, gdzie oprócz zwiedzenia Londynu, zamierzone jest zwiedzenie kilku szpitali, gdyż książę Piotr interesuje się medycyną i pragnąłby się zapoznać z nowemi metodami leczenia raka. W dniu przyjazdu oczekiwał ich na stacji londyńskiej ojciec księżny, który stale służy jeszcze w policji. Nic też dziwnego, że widok policjanta ściskającego księżniczkę, wywołał zrozumiałą sensację.

Groźna katastrofa na Oceanie. Parowiec oceaniczny „Express of Canada“ należący do „Canadian Pacific Railway“, zatonął podczas mgły w drodze z Wancouver do Japonji i Chin. Na parowcu znajdowało się przeszło 1.100 osób pasażerów i załogi. Na sygnały przybyły w porę holowniki brytyjskie: „Victoria“ i „Columbia“ oraz inne parowce, znajdujące się w pobliżu miejsca katastrofy. Dzięki temu wszystkich pasażerów i załogę zdołano uratować. „Express of Canada“ był najszybszym parowcem linji transpacyficznej. Pojemność jego wynosiła 22 tysiące ton. Poszukiwania w miejscu katastrofy prowadzone przez nurków stwierdziły, że parowiec wpadł na rafy podwodne podczas niezwykle gęstej mgły.

Orkan. Szalejący ostatnio orkan na wyspach Bahama (Antyle), wyrządził w stolicy tych wysp Nassau straty sięgające blisko miljona dolarów. Straty w innych miejscowościach tych wysp nie są jeszcze całkowicie obliczone.

80 ludzi pożartych przez krokodyla. Jak donoszą gazety holenderskie, południowo-wschodnie okolice Borneo nawiedziła plaga krokodyli. Doszło do tego, że ludność boi się po zachodzie słońca wychodzić z domu. W Benua Anser, w głównem osiedlu Borneo, są krokodyle panami sytuacji. W ciągu roku pastwą ich padło 80 ludzi, których te krwiożercze zwierzęta wciągnęły z brzegów lub z łodzi. Przerażona ludność tamtejsza zorganizowała się do walki z dzikiemi bestjami, które rozmnożyły się w tak przerażający sposób w ostatnich dwóch latach. Prawdziwy raj dla myśliwych.

Wesoła historyjka amerykańska. Mister Hawkins, bogacz amerykański znany jest ze swego lakonizmu i wymaga od otoczenia, aby z jednego rzuconego przezeń słowa załatwiano cały szereg związanych z niem czynności. Służba jego do tego stopnia jest wyszkolona, że na wydany rozkaz: „Śniadanie!“ przynoszą w tej chwili ranny posiłek, gazetę, ubranie, stalują fryzjera i auto zajeżdża. Pewnego dnia, po przebudzeniu się, mister Hawkins zawołał: „Chory!“ Służący oddalił się i całą godzinę nie wracał. Gdy nareszcie zjawił się, rzucił mu ostro pytanie: „Gdzie?“

— Zamówiłem doktora, przyniosłem lekarstwa, przyprowadziłem posługaczkę do obmycia ciała, kupiłem trumnę, wybrałem wieńce i kazałem przygotować nekrologi — usłyszał od owiedź.

Czy mister Hawkins tym razem był zadowolony z wszystko przewidującego służącego, bardzo to wątpliwe.

RZECZY CIEKAWE.

Najbogatszy człowiek świata

Najbogatszym człowiekiem na świecie przed wojną był zamordowany car rosyjski Mikołaj II. Dochody jego wynosiły sumę trudną do uwierzenia, gdyż liczono je na miljon dolarów dziennie. Ale gdy się weźmie pod uwagę, że należały doń, jako głowy kościoła prawosławnego, wszystkie dobra i skarby rosyjskich cerkwi, że był on posiadaczem 150 tysięcy dziesięcin ziemi i wielu kopalni srebra i rozmaitych innych kolosalnych objektów, suma ta nie wyda się tak nieprawdopodobna. Więcej niż sto pałaców było jego prywatną i dziedziczną własnością i obsługiwało je okrągłe 30 tysięcy rozmaitej służby, utrzymywano przy nich stale 6 tysięcy koni i przeszło 500 najbardziej luksusowych automobili.

Większa część rezerwy w złocie całego świata w wysokości miljarda dolarów, znajdowała się przed wybuchem wojny w rękach cara. Część tego złota wraz ze złotem należącem do innych członków rodziny Romanowych była w trakcie wojny deponowana w bankach rozmaitych miast zagranicznych. — W pierwszym roku trwania wojny skierowane zostały do Archangielska dwa okręty angielskie, na których znajdowała się większa część tych zapasów złota. Złoto to zostało umieszczone przeważnie w Anglji, a następnie resztę rozesłano na rozmaitych okrętach do Władywostoku, Japonji, Szwecji, Paryża, do Kanady i do Stanów Zjednoczonych.

I oto obecnie spadkobiercy Romanowych, których jest około 30 osób, rozpoczęli energiczną walkę o ten nie lada jaki spadek znajdujący się poza granicami Rosji, podczas gdy wierzyciele dawnego cesarstwa rosyjskiego uważają go za zabezpieczenie, na którem należy poszukiwać strat wojennych i wojennych długów Rosji. Spór ten rozstrzygany będzie wkrótce w jednym z nowojorskich sądów, w samych bowiem Stanach Zjednoczonych znajduje się przeszło 100 miljonów dolarów, stanowiących część tej kolosalnej spuścizny. Ale między samymi spadkobiercami wre bezustanna i bezwzględna walka o owe miljony. —

W Nowym Jorku zamieszkuje domniemana córka cara, Anastazja, w imieniu której jeden z najwybitniejszych tamtejszych adwokatów wniósł do sądu pretensję o całkowitą znajdującą się w Stanach Zjednoczonych w formie carskiego depozytu sumę. Reszta Romanowych, zaprzecza tym prawom i uważa Anastazję za zwyczajną awanturnicę. A najciekawsze jest to, że ci właśnie, którzy zaprzeczają jej autentyczności podczas jej pobytu w jednej z klinik berlińskich potwierdzili jej identyczność i oświadczyli, że pamiętają ją doskonale z jej czasów dziecięcych.

Wierny małżonek.

Zupełnie osobliwe życie małżeńskie prowadzi ptak, który z powodu ogromnej rogowatej narośli na dziobie nazywa się nosorożcem. W okresie parowania wyszukuje sobie para małżeńska dziuple w drzewie i w tej dziupli ścielą gniazdo. W gnieździe tem sadowi się samica i wysiaduje zniesone jaja, a równocześnie samiec zalepia otwór gliną tak dalece, że samica może zaledwie wystawić koniec dzioba. W swem całkowicie ciemnem gnieździe pozostaje samica dopóki młode się nie wyklóją i nie staną się zdolne do lotu. Samiec mógłby się teraz o rodzinę wcale nie troszczyć. Tymczasem pozostaje on wierny swej małżonce i ustawicznie przynosi on pokarm zamurowanej samicy. Ten osobliwy tryb życia tem się tłómaczy, że w tropikalnych lasach na Borneo i Sumatrze, w których ptaki te żyją, roi się od wiewiórek i od małp, które mogłyby splądrować gniazdo, gdyby ono nie było zamurowane.

Kawa.

Ojczyzną kawy jest Abisynja w Afryce środkowej. Otrzymuje ją się z kawowca, niewielkiego drzewa o wiecznie zielonych liściach, wonnych, czerwonych lub żółtych kwiatach, które zawierają dwa zielonkawo-szare ziarnka, wielkości fasoli.

Dawniej naparzano w Afryce i Arabji całe owoce wraz z nasionami, dziś używa się tylko nasion kawy. Według legend, podniecającą właściwość kawy odkryli mnisi chrześcijańscy w Abisynji, obserwując kozy, które objadały liście i owoce kawowca.

Zwyczaj picia kawy z Abisynji dostał się w piętnastym wieku do Arabji, a stąd do innych krajów muzułmańskich: Persji, Turcji, Egiptu. W wieku szesnastym spotykamy tam już liczne kawiarnie, które nosiły nazwy „szkół mądrości“, gdyż przy kawie gromadzili się tam ludzie wybitni na pogawędki o sprawach państwowych, społecznych i religijnych. Były one jednak rozsadnikami idei wolnomyślnych, a często nawet ogniskami spisków politycznych. Soliman II kazał je przeto pozamykać, a wielki wezyr Kuproli wydał w roku 1524 rozkaz wsadzania niepoprawnych amatorów kawy do worka i wrzucania ich do wody. Gdy jednak nawet surowe represje nie zdołały wytępić tej namiętności, Murad II (1574—95) obłożył kawiarnie podatkiem, który przynosił mu znaczne dochody.

Do Europy chrześcijańskiej dostała się kawa w siedemnastym wieku najpierw do Włoch. W Rzymie pijano kawę już w r. 1626, w Paryżu pierwszą kawiarnię założono w r. 1671, a w roku 1715 było ich już 600. Wiedeń zawdzięcza swą pierwszą kawiarnię Janowi Sobieskiemu. Mianowicie po rozbiciu Turków w dniu 12 września 1683 r. znaleziona w zdobytym obozie Kara Mustafy wielkie ilości palonej kawy. — Król ofiarował ją odznaczonemu za męstwo Polakowi Kulczyckiemu, a ten założył we Wiedniu pierwszą kawiarnię przy „Schlossergasse“. Przetrwała ona aż do 19 wieku.

Sztuczne drzewo.

W Stanach Zjednoczonych cena drzewa wciąż wzrasta, tak że ten doskonały materjał budowlany zastępują tam wciąż nowemi namiastkami. Równocześnie tamtejsi technicy pracują nad wynalezieniem jakiegoś materjału, któryby nie był surogatem lub zwykłym namiastkiem drzewa, lecz posiadał wszystkie dodatnie cechy dobrego surowca. Ostatnio udało się trzem uczonym, którzy od dłuższego czasu pracują w nowojorskiem laboratorjum, odkryć metodę wyrabiania sztucznego drzewa z łodyg kukurydzy, z wiórów drzewnych, z łodyg trzciny cukrowej oraz z różnych podobnych odpadków.

Różne te odpadki miele się bardzo starannie, poczem poddaje się je działaniu różnych płynów i przy pomocy silnych pras formuje w deski i belki. Uzyskane tą metodą sztuczne drzewo ma podobno posiadać wiele zalet i znacznie lepiej od naturalnego opierać się różnym wpływom zewnętrznym, jak to wilgoć, mróz itp.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Jan Pelczar** w W. S.: „Cierpienie“ pójdzie jako artykuł wstępny w jednym z najbliższych numerów. — **Wanda Charzewska** w G. J.: Nadesłane utwory zamieścimy. — **Józef Malczyk** z Z.: Wiadomość o tragicznym wypadku na Zamarłej Turni już podaliśmy wcześniej. Trudno drugi raz to samo drukować. — **Władysław Płomiński** w M.: Nadesłany utwór zamieścimy w następnym numerze „Roli“. — **Stanisław Antoni Jucha** w K.: „Zaduszki“ ani to artykuł, ani notatka kronikarska. Wierszyki jeszcze słabe. — **Jan Stasik** K.: Zła jest dużo na świecie, ale przecież nie trzeba się tak na wszystko pesymistycznie zapatrywać. Że pierwszy kurator szkolny w Krakowie nie dorósł do swego zadania, z tem się zgadzamy, ale został on też dlatego tylko kuratorem, że pracował w Redakcji „Piasta“ i że tego sobie p. Witos życzył. Trzeba było przecież jakoś wierną służbę nagrodzić. Co do obecnego kuratora nie mamy żadnych danych, aby być jednego zdania z Panem. Jeżeli da nam Pan jakieś niezbite dowody, to chętnie sprawę tę poruszymy. Co do profesora S. to ci, którzy się doń o poradę udawali, są innego zdania, a i my jesteśmy tego zdania, że więcej on może zdziałać jako wynalazca, aniżeli jako profesor. Potępianie w czambuł pewnej kategorji pracowników nie jest ani słuszne, ani sprawiedliwe. Z długiego listu Pańskiego znać, że stała się Panu jakaś krzywda, ale czyż to jeden Pan pokrzywdzony na tym świecie? Trzeba zawsze pamiętać, że kogo Pan Bóg kocha, na tego zsyła krzyżyki — **Piotr Wenc** w S.: „Pisany kamień“ otrzymaliśmy i zamieścimy. — **Franciszek Macioł** w S. B.: A przecież imiona takie się znalazły, jak to Pan widzi poniżej. — **Józef Serafin** w M.: „Kalendarza kolejarskiego“ nie znamy, więc trudno nam wytykać jego błędy. Polemika byłaby niezrozumiała dla naszych Czytelników. — **W. Mirek** z N.: Numer okazowy z czekiem wysłaliśmy. Dziękujemy i polecamy się nadal. — **Witold Urbanek** w R.: Do całorocznej prenumeraty brak jeszcze 2 zł. Gdy prenumeratę płaci się zgóry na cały rok, to wypada taniej — częściowo płacona prenumerata jest droższa a tylko dlatego, że musimy cztery razy czeki dołączać i cztery razy wpisywać do książki, a też kapitał zebrany z całorocznych prenumerat procentuje się i z tych powodów całorocznym prenumeratorom dajemy ulgę w tańszej prenumeracie. Całoroczni prenumeratorzy korzystają też z jednorazowego płacenia całorocznej prenumeraty, bo nie wypełniają cztery razy czeków ale raz i raz też chodzą na pocztę nadawać. — **Ks. Franc. Mynarski** w S.: Prenumerata zapłacona już do końca marca 1930 r. — **Leon Mulicki** w J.: Rzekoma legenda bułgarska nie jest legendą bułgarską, ale raczej międzynarodową, przytaczaną tysiące razy przez księży w kazaniach. W języku polskim była ona już wielokrotnie drukowana, szkoda więc było trudu na jej tłomaczeniem z bułgarskiego. Oryginalne utwory, a nawet tłomaczenia utworów w języku polskim niedrukowanych chętnie drukujemy, lecz honorarjum z zasady nie płacimy. Popierwsze dlatego, że „Rola“ nie ma na to funduszów, a powtóre celem naszym jest wyszukiwanie talentów literackich, a nie wynagradzanie tych, którzy piszą na zarobek. — Władysław **Bienias** w R.: Artykułów na Dzień Zaduszny mamy kilka; nie wiemy, czy zdołamy je wszystkie pomieścić. Gdyby się to nie dało, niektóre schowamy na przyszłość. A które, dziś jeszcze oznaczyć nie możemy. — **„Be-ge“** w S.: Humoreski, jako rzeczy lokalnej, nie zamieścimy. Nie należy jakiegoś biedaka publicznie wyśmiewać. — Stanisław **Potwora** w Z.: Książkę o pszczelnictwie dostanie w każdej księgarni, nie wszystkie jednak zasługują na polecenie. Najlepiej niech się Pan zwróci pod adresem: „Pszczoła“ Lwów, a tam wybiorą najlepszy podręcznik. Jest to Stowarzyszenie fachowe, więc poradzi dobrze. — Fabjan **Święch** w O.: Wspomnianego rękopisu nie zachowaliśmy.

†

Dnia 16 października b. r. zmarł w szpitalu w Żywcu znany Czytelnikom »Roli«

IGNACY ZAJĄCZKOWSKI.

Ś. p. Zajączkowski był wielkim przyjacielem »Roli«. Jako st. adjunkt leśnictwa dóbr Sucha-Ślemień, mieszkał w Stryszawie, gdzie zostawił wielki smutek po sobie wśród obywateli tej wioski.

Cześć jego pamięci.

WIKTOREK WALENTY, urodzony w r. 1893, Laskowa, unieważnia zgubioną książeczkę wojskową wystawioną przez P. K. U. Nowy Targ.

Zagadki do nagrody.

1. Łamigłówka czteroliterowa.

(Ułożył A. St. B.)

a	a	a	a	a	a	a
	a	a	a	a	a	
	a	k	t	k	a	
k	k	t	t	t	k	k
	t	t	r	t	t	
	t	t	r	t	t	
	r	r	r	r	r	

Litery w kwadracikach tak poprzestawiać, aby rzędy środkowe: poziomy i pionowy dały nazwę rośliny. Pierwszy rząd poziomy da nazwę ugody, drugi zaporę żelazną, trzeci część książki, piąty nazwę Azjaty, szósty drogę, siódmy chorobę.

2. Zagadka.

(Ułożyła Irena Kaczorówna z S).

Pierwsze, drugie to zajęcie rzemieślnika,
Pierwsze drugie trzecie nazwisko czytel- [nika.
Trzeciego do sportu używają,
Nieraz przy tem nagrody dostają.
Gdy uczciwy pierwsze, czwarte
Podwoje niebieskie ma otwarte.
Całość medycyna znana,
Na pewien ból używana.

3. Szarady.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

Podczas gdy układam szaradę do wiersza,
We Włoszech wciąż płynie druga trzecia [pierwsza,
A jak się nazywa, pewnie wszyscy wiecie,
Owoce całości wyborne są w lecie.
Dobra to jest druga nagrodę otrzymać,
Więc taka ma rada: myśleć, a nie drze- [mać!

4. Układanki geograficzne.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).

Krewny = miasto polskie.

Samogłoska + zaimek + sam = miasto na Bałkanie.

Pieczywo żydowskie + rzeka + zaimek = kraj.

Zna + część twarzy = miasto polskie.

Ty w obcym języku + imię męskie wspak = rzeka.

Pocisk + spółgł. = miasto w Indjach.

Odkrywca + zaimek = kraj w Ameryce

Ciąg dalszy + dwie samogłoski = miasto w Japonji.

5. Zagadki humorystyczne.

(Ułożył Alfons Czader z S W.).

I.

Jaki rygiel ciągną konie?

II.

Jakie gwiazdy są w oceanie?

III.

Jaka kra nie topi się na słońcu.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 2 listopada b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 41 „Roli“: 1. Podwójny logogryf: Antoni St. Bassara: Branki tatarskie. 2. Szarady: I. Najprzedniejszy macedoński. II. Nikotyna. 3. Kwadrat magiczny: Marek. Adela. Remiz. Eliza. Kazań.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Piotr Kowalski z D., Eugenjusz Kotfis z D., Stefan Jaworski z P., Mieczysław Szczurowski z D., Tomasz Bereta z B., Jakób Jeziorański z K., Alfons Czader z S. W., Józef Garczek z C., Franciszek Niedbała z T., Marja Woźniakiewicz z G., Franciszek Macioł z S. B., Piotr Leśniak z M.

Nagrody wylosowali pp.: Mieczysław Szczurowski z D. i Piotr Leśniak z M.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W karczmie.

Trzeźwy: Człowieku, czego wy się tak kiwacie i spluwacie?

Pijak: A to tę bestję wódkę trzydzieści lat już piję i nie mogę do niej nijak przywyknąć.

Na jarmarku.

— Macieju, kupcie to krówsko, życzę wam.

— Czy ona taka mleczna?

— Po sprawiedliwości nie bardzo, ale okrutnie mądra, bez całe lato na dworskiem się ino pasie. Jedyne bydlątko.

Przestroga.

— Ej, Maciek, nie chodź ty do stodoły z latarnią, bo się jeszcze zapali.

— A juści, kiej mi trza worka, a stodoły do latarni nie podźwigam.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 11 paździer. b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·20 do 1·65 zł.	Jałownik	od 1·00 do 1·67 zł.
Woły	od 1·10 do 1·70 zł.	Cielęta	od 1·78 do 3·00 zł.
Krowy	od 0·94 do 1·60 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·45 do 2·79 zł.	Nierogaciznę wyższej wagi	od 3·00 do 3.55

Giełda płodów rolniczych
z dnia 11 paździer. b. r.

Pszenica	39·50—40·50	Słoma długa	8·00—9·00
Żyto	25·00—26·00	Ziemniaki stoł.	6·00—6·50
Owies	23·00—24·00	Koniczyna na-	
Jęczmień	23·00—24·00	sienn. czer.	00·00—00·00
Fasola biała	100·00—110·00	Mąka żytnia	40·00—00·00
Groch zwyk.	44·00—48·00	Mąka pszen.	70·00—71·00
Siano słodk.	10·50—11·50	Otręby pszen.	15·50—16·50
Łubin żóły	28·00—29·00	Otręby żytnie	16·50—17·00
Koniczpastew.	32·00—35·00	Mąka czerw.	·00—·0 34305

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.